

221802
ALZYRA

CZYLI

AMERYKANIE

TRAGEDYA WOLTERA

W PIĘCIU AKTACH.

PRZEKŁAD

Adama Janikowskiego.



W A R S Z A W A.

NAKŁADEM AUTORA.

W drukarni Stanisława Strąbskiego Nr 617.

—
1853.

Cena kop. 75.

14 June 1844
Dear Mr. Dr. Thompson
I have the honor to acknowledge
the receipt of your letter of the 10th inst.

ALZYRA.

under of 1844

From J. Thompson

ALZYRA

CZYLI

AMERYKANIE

TRAGEDYA WOLTERA

W PIĘCIU AKTACH.

PRZEKŁAD

Adama Jankowskiego.



W A R S Z A W A.

NAKŁADEM AUTORA.

W drukarni Stanisława Strąbskiego Nr 617.

1853.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

Warszawa dnia 14/26 listopada 1852 r.

Starszy Cenzor,

RADCA DWORU, **L. T. Tripplin.**

PRZEDMOWA TŁUMACZA.

Tragedya, która początek swój wzięła pod greckiem niebem; która dawnością swoją sięga w przeszłość blisko półtrzecia tysiąca lat; której jak wiemy byli ojcami Sophokles, Eurypides i Eschyl, zawsze z zapalem była przyjmowaną przez publiczność na scenie ateńskiej, zawsze ją zajmowała i uczyła w czasie każdego przedstawienia; bo celem tragedyi było i jest: aby w obrazach nacechowanych namietnością i szlachetnemi czyny, silnie działać na imaginacyą widzów, i zawsze im okazać, że cnota choć późno, odbiera nagrodę, a występki karę. Później pokazała się ona w cyrkach rzymskich, gdzie podobnie odnosiła tryumfy. Dalej przebywała różne koleje losu, któremu jak wszystko, tak też i ona ulegać musiała, bo nastały czasy barbarzyństwa, ciemnoty, które inaczej zowiemy wiekami średniemi, gdzie niesłychane plagi dotknęły nauki, tak, iż nawet powątpiewano, aby przyszła kiedy epoka, w którejby znów podźwignąć się mogły. Ale czas, ten łakomy pożerca co wszystko chłonie, a nasycony, zdaje się jakby siłą magiczną wypro-

wadzać zpod mogił to, co w nich oddawna snem wiecznym spało i nadawać życie wszystkiemu w sposób prawie niepojęty; wywołał na nowo dźwigające się z grobu nauki, do których należy i tragedia, co przespawszy kilka wieków, zaczyna się pojawiać w krainie Shakespeara, Addissana i Otwaya, którzy nie mając wówczas jeszcze innych pomocy nad płody znanych nam greckich tragików i własny swój gieniusz, a łacińskiego języka nie posiadali: nie mogli nam przeto ze sceny swojej zostawić bogato posażnych utworów w piękności właściwe temu rodzajowi poezyi; a przecież Shakespear, chociaż w mieszaninie nieraz swych dziwacznych, a zarazem i wzniosłych myśli i wyrażen, często bardzo zachwycał i przerażał publiczność zebraną na przedstawieniu. Później widzimy tragedią na scenie francuzkiej; ale już ogladzoną z dawnych błędów, zaniedbanych a często nawet obrażających ucho wyrażen i wolną od owych chórów używanych przez Greków: bo mówię tu o epoce, w której sławny Kornel, że tak powiem ten twórca tragedyi francuzkiej, dał nam pierwszy wyobrażenie o smaku i prawdziwych pięknościach sztuki dramatycznej, szczególnież tam, gdzie trza było obudzić przestרח, podziwienie i zajęcie. A występujący po nim w tym trudnym zawodzie literatury (Rassyn i Volter) nauczyli nas płakać na scenie, i uwielbiać silne i wzniosłe charaktery, w odmalowaniu których ostatni szczególnież celował: gdzie równie czułość jak delikatność do wysokiego stopnia posunięte, odmówionemi mu być nie mogą.

Jak to widzieć się daje: w Cezarze, Brutusie, Mahomedzie, Zairze, Alzyrze, Olimpi, Sierocie chiński i innych.

Z kolei przyszedł był czas, że i na naszój niwie słowiański z wielką korzyścią zaczęto uprawiać sztuki dramatyczne, w których bardzo znakomite zabłysły talenta; jakiemi byli z dawniejszych Niemcewicz, Karpiński, Feliński, Wężyk i w przekładach L. Osiński; a z dzisiejszych w rodzaju komicznym nasz słynny Alex. Hr. Fredro bardzo słusznie zwany Molierem polskim, a kto był na przedstawieniu Dożywocia i Cudzoziemczyny, ten śmiało powiedzieć może, że tylko wtedy Tartuff i Harpagon mogli zachwycać, kiedy nie było tych dwóch komedyj wyżej wspomnianych. Nareszcie znakomite bardzo miejsce w tymże samym rodzaju zajmuje nasz Józef Korzeniowski znany ze swoich utworów na scenie warszawskiej. Ale czas wrócić do naszych tragików, o których mówić zacząłem: któż bowiem z nas nie zna Ludgardy, Judyty, Władysława Warneńczyka i Barbary Radziwiłłówny, tém boskiem piórem skreślonej przez dwóch wyżej wspomnianych naszych poetów? czyjaż dusza nie przyłgnęła całkiem do tój sceny tragicznej? czyjeż serce mogło być tak zlodowiałem lub zamienionem w kamień, jak za czasów Metamorfoz greckich, aby się nie oddało boleści i nie popłynął obfity łez strumień po licach każdego słuchacza na przedstawieniu tój sceny, zapominając na chwilę, że patrzy na aktorów, ale zachwycony, przenosi się nagle myślą w ubiegłe czasy, w nich żyje

i widzi dramat naturalny jaki się wówczas odbywał? Takieto są skutki gienialnych utworów i dodajmy jeszcze usposobień natury i ukształcenia słuchaczy. Gdzie znakomity bardzo poeta francuzki Gabryel (Legouvé) popiera moje zdanie w swój melancholii w następnych kilku wierszach.

„Każdy lubi wylewać lzy szczerze, prawdziwe,
Nad trwogą, nad nieszczęściem, chociaż te fałszywe,
I zdala już od sceny, w swém sercu i oku
Kryje długo i żywi lżę pełną uroku“.

Dla braku zaś miejsca w téj krótkiej przedmowie i aby nie znudzić czasem czytelnika, pomijam wreszcie inne narody europejskie jakoto Niemców, gdzie także wielkie talenta ukazały się w dramatyczno-tragicznym rodzaju poezyi, a u innych choć w miniaturze widziane; a przechodzę do tych uwag: że tragedia jak ją widzimy od początku w różnych epokach i w różnych narodach była zawsze najcenniejszym utworem sztuki dramatycznej, w pracowaniu dla której oddawali się po większej części najpiękniejsze talenta i zawsze na swój scenie bawiła, uczyła, i do zachwycenia przyprowadzała zebraną licznie publiczność, między którą mogliśmy liczyć nieraz osoby najznakomitsze, bo głowy ukoronowane, które z prawdziwem zadowoleniem patrzyły na te obrazy boleści, przerażenia i prawie zawsze triumfu cnoty nad zbrodnią.

I taką była jeszcze tragedia w bliżej nas dotykających czasach, na zjeździe w Wejmarze dwóch najpotężniejszych monarchów: wiekopomnej pamięci

cesarza Alexandra Igo i Napoleona, dla których umyślnie odgrywano Edypa i Cezara.

Z tych przeto uwag następuje się pytanie: dlaczego od lat prawie trzydziestu, które zaczęliśmy nazywać wiekiem postępowym, tragedia straciła na swą wziętość, szczególnie pod niebem Lecha? Czy dlatego, że kunszt, rękodzieła, malarstwo i inne sztuki doszły do wysokiego stopnia doskonałości? że para na wodach i łądzie cudów prawie dowodzi? To jeszcze niedość, abyśmy żyjąc w tym duchu spekulacyjnym już byli tak rozumni, iżby tragedję uważać za fraszkę niegodną zajęcia naszych umysłów uposażonych tegoczesnemi naukami.

Czyli też, że wyrodziły się w nas uczucia i zwichnęły wyobrażenia, iż nie potrafimy zastanawiać się ani oceniać tego, co jest wzniosłym, szlachetnym i prawdziwie pięknym? Albo, że puliczność tak jest wesołego humoru, iż tylko zawsze pragnie śmiać się na scenie, chociażby z komiki najmniej zasługującej na to: a nigdy płakać nad nieszczęsnym losem tych, co nam historia z ubiegłych wieków przekazała w obrazach tragicznych? Bo też prawdę mówiąc, że łązy ronić na scenie, to trochę za przykro dla ocz i serc, które albo już na świat przyszły bez uczuć, albo też metodą wychowania zostały w nich wyglądzone, te najpiękniejsze zarody przymiotów duszy naszej, będące same tylko źródłem prawdziwem cnoty i najszlachetniejszych czynów, jeżeli kiedy w życiu je wypełniamy. A tu właśnie uczucia, prawdziwa miłość, cnota, dziś są wysmianemi na

świecie, i tylko gdzieś niegdzieś błakają się po za-
 kątkach jak owe cienie duchów, co tylko o nich sły-
 szymy, a mało je kto własnymi zobaczył oczyma.
 Z tych tedy przyczyn nie powinniśmy się dziwić, że
 sceny tragiczne nie mogą dziś mieć tego smaku, ani
 obudzać tych wrażeń, do jakich tylko zdolne są
 dusze czule i umysły wykształcone. A może do
 skreślonych tu powodów przyczyniła się także
 i opera; ta potwora sztuki dramatycznej, której
 kolebką Włochy: bo niech tylko pokaże się jakakol-
 wiek, już publiczność spieszy, tłoczy się, nawet nie-
 raz trudno o bilet i wszystkie miejsca nie powiem
 zajęte, ale zapchane, bo tam potrzeba tylko oczu
 i uszu, a choć który z widzów chory na głowę, to
 mniejsza o to, bo ona tam niewiele znaleźć może
 dla siebie, a zawsze miłość własna każdego zostanie
 zaspokojoną, że jest znawcą muzyki wielkich mi-
 strzów i że umie ocenić głos śpiewaczki i klaskać
 w ręce, chociaż ten, aż uszy rozdziera nieraz: ale
 zawsze oczy się pasą zmianą różnych, a niekiedy py-
 sznych dekoracyj, to znów strojem różnobarwnym
 kostiumów, że aż wzrok zdaje się cierpieć na tém;
 przecież wszyscy szczerze zadowoleni opuszczają
 widowisko i rozprawiają z największą precyzją, sy-
 piąc jednym pochwały, a drugim nagany, ale często
 pierwsze i drugie niezawsze zasłużone. Ja zaś nie
 wchodząc w to, czy upodobanie w tragedyi dziś jest
 toż samo, czy nie, jakie było na początku tego wie-
 ku; ale od pierwszej młodości kiedy poznałem nauki
 i sztukę dramatyczną, zawszem ją mocno cenil

i zawsze byłem jój miłośnikiem, i to téż właśnie spowodowało mnie do przekładu niniejszój tragedyi, zwłaszcza, że ten rodzaj poezyi dramatycznój z każdym dniem u nas zdaje się upadać. I chociaż ta sama Alzyra już była tłumaczona za czasów związania się towarzystwa naszych uczonych do przekładu wszystkich celniejszych tragedij francuzkich; jednakże nie ubliżając autorowi, który w niój próbował swego pióra; w dzisiejszym czasie gdzie tylu mieliśmy znakomitych poetów, jego rymy techną stylem przestarzałym i obranym z tego, co właściwie nazywamy poezją: przeto nie miałem sobie za skrupuł traktować drugi raz ten sam przedmiot: bo cóż tu zrobić, że i mnie i Molskiemu podobała się Alzyra jaśniejąca tylu wdziękami! A jeżeli światli znawcy i prawdziwi lubownicy téj poezyi, których pewna liczba zawsze istnieje, znajdą moje pióro godnym przekładu tak znakomitego autora oryginału, i z parę godzin czasu spędzą z przyjemnością na odczytaniu; to te chwile policzę do najszcześniejszych życia mojego.

A. J.

OSOBY.

D. GUZMAN, rządcą Peru.

D. ALWAREZ, ojciec Guzman, dawny rządcą.

ZAMOR, książę panujący w części Potozy.

MONTEZ, podobnie mający najwyższą władzę w innej części Potozy.

ALZYRA, córka Monteza.

EMIRA

CEFANIA } poufale Alzyry.

D. ALONZO oficer hiszpański.

Oficerowie hiszpańscy.

Scena odbywa się w mieście de Los-Reyes, inaczej Lima.

ALZYRA

CZYLI

AMERYKANIE.

TRAGEDYA VOLTERA.

AKT I.

SCENA I.

ALWAREZ I GUZMAN.

Alvarez.

Madrycka rada wreszcie taki wyrok dała,
By w rękę twoję synu, władza ma została.
Panuj książę wraz z Bogiem którego wyznaję,
W tej dziedzinie bogatęj, gdzie te nowe kraje.
Rządź wreszcie ową ziemią zbyt płodną klęskami,
Co wydała zarazem skarby ze zbrodniami.
Tobie godność mój synu królewską oddaję,
Która w mojej starości ciężarem się staje.
Na łonie Ameryki przeszły moje lata,
Ja pierwszy okazałem dla nowego świata ⁽¹⁾

(1) Wyprawa do Meksyku odbyła się w roku 1517, a do Peru w r. 1525.
Przeto Alvarez mógł łatwo je widzieć.

Las-Reyes, miejsce odbywającej się sceny, było zbudowane w roku 1535.

Narzędzia niesłychane swojemi kształtami,
 Gdyśmy weszli na morza z swemi okrętami.
 Od znaków Niedźwiedzicy, gdzie Magellan morze,
 Kastyleczycy szli ze mną w tym całym przestworze.
 Szczęśliwym, gdyby można za owoc mych czynów,
 W cnotliwych śmiertelników zmienić Marsa synów!
 Lecz któż może poskromić zwycięzców w zapale?
 Ich surowość jest plamą na zyskaną chwale⁽²⁾,
 Patrząc na tych rycerzy me oczy plakały,
 Że ich serca, jak dusze zrobione ze skały.
 Już stawiam krok ostatni w mój długiej podróży,
 Gdzie bez żalu powiekę to oko zamruży,
 Jeśli ujrzy, że nadasz prawa sprawiedliwe,
 Potozie; gdzie mieszkaniec wiódł życie szczęśliwe.

Guzman.

Wraz z tobą ja to dzikie półsferze zdobyłem,
 Wraz z tobą w tych klimatach pałacach walczyłem.
 Winienem więc od ciebie nauczyć się rządzić,
 Za wzór mieć twoje prawa, niż w swoich pobiłdzić.

Alwarez.

Próżna myśli, by we dwóch dzierżyć te zaszczyty:
 Ja stargany pracami i szronem okryty;
 Dość mi na tém, by w radzie głos mój usłuchali,
 I myśl ową co czyni twe wiecznie ustali.
 Wierz mi, że ludzie których zbyt dobrze poznałem,
 Niewarci, by nad niemi dłużej władzę miałem.
 Resztę zaś chwil zwątlonych mój słabiej starości,
 Oddam Temu, co patrzy na nas z wysokości.

(2) Wiadomo, jakich okrucieństw dopuszczali się: Ferdynand Cortez w Meksyku, a Pizarro w Peru.

Chcę tylko jedną łaski, ta mi drogą będzie;
 Lecz spełnić ją syn ojcu, winien zawsze, wszędzie.
 Niech mi będą wróceni ci biedni poddani,
 Dzisiaj z twego rozkazu w niewoli trzymani.
 Bo dzień tak uroczysty, winien być szczęśliwy,
 I błyszczyć tylko łaski, nie kajdan ogniwy.

Guzman.

Twoja prośba, to dla mnie jest rozkaz jedyny;
 Lecz pomyśl, czy się lękać nie mamy przyczyny?
 Do miasta, co powstaje i słabo wzmocnione,
 Przystępy dla tych ludów są przez nas wzbronione.
 Pomnijmy, by ten naród dumą upojony,
 Nie nawykł do żelaza, którym uśmierzony.
 I prawy pogardzając, co chce ich zniszczenia,
 Czczył tylko swoich panów, pełen przerażenia.
 A wzrok jego z bojaźnią niech tam tylko sięga,
 By widzieć, jaka nasza zemsta i potęga.
 Amerykanin dziki, potwora obrzydła,
 Gryzie z drzeniem w przestachu niewoli wędzidła.
 Uległy jest pod chłostą, dumny w bezkarności,
 Łagodność względem niego sądzi z powinności.
 Tak słowem, wszelka władza pobbążaniem ginie:
 Posłuszeństwo surowość chce mieć za mistrzynię.
 Wiem dobrze, Kastyleczycy tego tylko zdania,
 Że jest dla nich zaszczytem służyć bez szemrania.
 Lecz owa reszta świata niewolą skalana,
 Żyje w samym ucisku i zgina kolana.
 W tymto strasznym klimacie nawet bogi czczone,
 Nie przyjmują tych ofiar, co krwią niezbroczone ⁽³⁾.

⁽³⁾ Zabijano niekiedy na ofiarę ludzi w Ameryce; lecz niema prawie ani jednego ludu na ziemi, któryby nie popadł w błędy tego przerażającego zabobonu.

Alwarcz.

Synu! ja nienawidzę tyrańskiego zdania;
 Ta zbrodnia, czyliż może być godną kochania?
 Ty chrześcianin! odtąd do rządów wybrany,
 Nad nowemi w imieniu Boga chrześciany.
 Twe oczy, czyż nie syte od tylu grabieży,
 Co ład stały pustoszą, aż do tych wybrzeży?
 Czyliż po to przyszedłem z owych granic Wschodu?
 Do wcale nieznanego bałwochwalców rodu,
 Bym patrzył pod tém niebem, z jakim oburzeniem
 Brzydzą się katolickiem najeźdźców imieniem?
 My istoty niegodne, przez Boga wybrane,
 By głosić Jego Imię, prawa uwielbiane;
 My mówię niezblagani, srodzy niszczyciele,
 Dla których krwi ni złota nigdy nie ma wiele;
 Burzyciele praw owych jakie dały nieba,
 My lud ten wycinamy, co go zjednać trzeba!
 Gdzie nasza noga stąpi, tam śmierci całuny,
 I tylko naśladować umiemy pioruny!
 Nasze imię, wyznaję, iż trwogą przeraża,
 A Hiszpan tak tu strasznym, jak widok zbrodniarza.
 My plagi nowych ludów, niesyte dręczenia!
 Godnymi barbarzyńców jesteśmy imienia.
 Amerykanin dziki w swęj cichęj prostocie,
 Równy nam jest w odwadze, ale wyższym w nocie.
 Ach! gdyby równie z tobą, był on tak krwi cheiwy,
 Jużby legł pod żelazem twój ojciec sędziwy.
 Wysłyż ci z pamięci owe piękne czyny,
 Jak mi życie wrócili wpośród tęg dziedziny?
 Jak przez nich otoczony, w szalonym zapale,
 Z powodu, żeśmy lud ten udręczali stale:
 Los każdego z mych braci ja z blizka widziałem,
 I śmierć własną już prawie za rękę ścisiałem?

Broń na me imię samo spada im do ziemi,
 A młody syn tych pustyń z oczyma łzawemi,
 Zamiast pierś mą przeszywać, ściska moje nogi
 I rzecze: „Tyżto jesteś Alwarezie drogi!
 Żyj więc; bo cnoty twoje są dla nas boskiemi,
 Bądź ojcem nieszczęśliwych długo na tej ziemi,
 By twoi, co naszego pragną ujarznienia,
 Uczyli się od ciebie sztuki przebaczenia.
 Powiedz, że wielkość duszy tu za godło miano,
 U ludu nieszczęsnego, co dzikim nazwano.“
 Ty wzdychasz; czuję, jaka myśl się w tobie rodzi:
 Twe serce mimo chęci wzrusza się, łagodzi.
 Równie ludzkość jak ojciec do ciebie przemawia.
 Lecz jeśli ci surowość tyle szczęścia sprawia,
 Z jakieżmż możesz wreszcie ty się stawić czołem,
 Gdy czucia nie okażesz, przed owym aniołem,
 Przed tą córą królewską tej nieszczęsnej ziemi,
 Coś ją wszędzie oznaczył śladami krwawemi?
 I mniemasz, że ten związek nic na tém nie traci,
 Że krew drogą obficie lejesz z jej współbraci,
 Lub zwodzisz się tą myślą, że ich głośne jęki
 Potrafią wydrzeć oręż z twój zdziczałej ręki!

Guzman.

Gdy tak więc rozkazujesz, pękną ich okowy:
 Lecz obrządek religii niech przybiorą nowy.
 Tak chcą prawa, by swoje bożyszcza rzucili,
 I w ten sposób na dalsze życie zasłużyli.
 Zyskajmy ich dla Boga owemi darami,
 I władajmy tak sercem, jak ich umysłami.
 Konieczność, owa władza co wszystko zwycięża,
 Wiedzie do stóp ołtarzy niezgiętego męża.
 Chcę bowiem by ci ludzie, praw mych niewolnicy,
 Słuchali mego Boga i mojej stolicy.

Alvarez.

Może też równie z tobą są życzenia moje,
 By tu prawda szerzyła panowanie swoje.
 By niebo i Hiszpania swych wrogów nie miały.
 Lecz serca uciskane, kiedyż ulegały?
 Podbić je łagodnością mój środek jedyny;
 Ten, synu, Bóg prawdziwy, co przebacza winy.

Guzman.

Poddaję się więc panie, takie twe życzenia,
 Bo twa władza ma wolę na własną zamienia.
 Tak: ty serce zmiękczyłeś karmione dzikością;
 Przez usta, które zawsze mówią z łagodnością.
 A ponieważ te dary nadały ci nieba,
 Że posiadasz tę sztukę, jak przekonać trzeba,
 Więc przez ciebie me szczęście może być spełnione.
 Mym płomieniem Alzyry żądze ośmielone,
 Oddając się żalowi, czynią me zgryzoty:
 Ja bardziej czcić ją pragnę niżli bóstwo cnoty.
 Lecz wreszcie gdy się staram spełnić jęj życzenia;
 Mój charakter wyniosły trudny do zwalczenia.
 Bym niewolnik spojrzenia, wdziękami podbity,
 Mém poddaniem się czynił jęj dumie zaszczyty.
 Nie myślę, by nademną tyle władzy miała.
 Skłonić tylko jęj ojca, na tém rzecz jest cała.
 Jedném słowem do niego rzeknij ostatecznie,
 Że córka ze mnie wybór musi mieć koniecznie.
 Błagam cię, lecz wstyd szczery rumieni me lica,
 By powodem prośb ojca, mogła być dziewica.

Alvarez.

Tak; mówilem mój synu i bez zaplonienia,
 Alzyra na Monteza gotowa skinienia.

Jój wspaniała rodzina, co tutaj jęczała,
 Od niebios mém staraniem pociechy doznała.
 Dla Boga prawdziwego, on swe rzucił bogi,
 I sam córce do wiary pokazywał drogi.
 Tego świata nowego Alzyra jest wzorem,
 A te ludy zbłąkane, za jój pójdą torem.
 Jój serce Kastylezykom wszystkich serca daje,
 I Ameryka przyjmie nasze obyczaje.
 Wiara tu rzucić winna swe błogie nasiona,
 A twój hymen połączy dwóch światów plemiona.
 I te ludy, co gardzą naszymi prawami,
 Ujrzawszy połączoną wspólnemi węzłami,
 Córę królów wspaniałą, bogatęj krainy
 Którąśmy najechali bez żadnej przyczyny;
 Z dumą nie tak wyniosłą i sercem poddaném
 Zniżą kark swój pod jarzmo, byś ich został panem.
 Złożę dzięki tym węzłom gdy ujrzą me oczy,
 Że wszystkie serca w chrześcian czyn ten przeistoczy.
 Wreszcie Montez nadchodzi, idź więc do ołtarza,
 Gdzie wraz z nim jego córka zbliżyć się odważy.

SCENA II.

ALWAREZ, MONTEZ.

Alvarez.

Tak więc władza ojcowska i mądre przestrogi
 Wskazały, jakiej córka ma się trzymać drogi.

Montez.

Uważ ojcze, Alzyra czyż nie ma przyczyny,
 Któręj Guzman poniszczył państwa i rodziny,

Iż jeszcze zda się lękać, jakby cienia trwogi,
 I chwiele się stawia ku zwycięzcy nogi.
 A węzły, co Europę z mym krajem jednają,
 Ją jednak w tym klimacie zrodzoną gniewają.
 Lecz na głos twój przesady już są obalone.
 Ty uczysz jak twe prawa mają tu być czczone.
 Tak, przez ciebie to niebo poznać nam się daje,
 I nasz umysł w zmienionój postaci zostaje.
 Ten świat waszém żelazem zwalczany w istocie,
 Uległ samój potędze, lecz my tylko cnocie.
 Twoich to współrodaków szal niepowściągniony
 To sprawia, że i Bóg wasz jest znienawidzony.
 My się brzydzim tym Bogiem, co go dzikość głosi,
 My go w tobie kochamy, i ten cześć odnosi.
 Oto widzisz, co Montez wraz z swą córką daje,
 Twemi cnoty ujęty w twym rodzie zostaje.
 Bądź jój ojcem, jak byłeś nad temi krajami.
 Daję ci ją dla syna w mych oczach ze łzami.
 Peru, Potoz, Alzyra, są podbojów względy,
 Idź, do twojój świątyni i nakaz obrzędy—
 Zda mi się widzieć ludy z niebiańskiej krainy
 Zstąpione, by się łączyć z śmiertelnemi syny.
 W słowie mojem za córką jest rękojmia dana:
 Iż w Guzmanie twym uzna małżonka i pana.

Alwarez.

Skoro wreszcie me ręce te węzły spoili,
 Drogi Montez zstępuje szczęsny do mogiły.
 Tyl co nam okazałeś te niezmierne kraje,
 Spraw, niech też światło do ich krańców się dostaje.
 Boże chrześcian! czuwaj nad dziećmi moimi,
 Co ślub spełnić tu mają przed ółtarzmi twemi.
 Zstąp z nieba, zbliż do siebie pólśferze zdziwione.
 Montezie! idę naglić chwile upragnione.
 Szczęściem syna ci winien, o którym marzyłem.

SCENA III.

Montez.

Boże! bogów pogromco! którym zbyt służyłem,
 Wspieraj lat mych ostatek, co go starość gniecie:
 Wszystkom stracił, lecz córka została na świecie.
 Chciejcie nad nią opiekę rozciągnąć niebiosy!

SCENA IV.

MONTEZ, ALZYRA.

Montez.

Już czas przyszedł, ma córko, zezwól na twe losy,
 Albo raczej, gdyś tkliwa na me stare lata,
 Przynies szczęście hymenem dla nowego świata.
 Daj pomoc zwyciężonym i rządz zwycięzcami,
 Zgas ich gromy ciskane dzikimi rękami.
 Wstąp na godność królewską z łoną twój niedoli,
 I ugnij twój charakter, chociaż cię to boli.
 Przybierz więc serce nowe, spełnij me życzenia,
 Bądź Hiszpanką, zapomnij własnego imienia,
 Osusz łzy twe Alzyro, co ci ojca trapią.

Alzyra.

Cała krew ma dla ciebie, lecz jeslim ci droga,
 Chciej czytać w sercu mojem, jakąś zdjętą trwogą.

Montez.

Już dosyć na twą boleść niewczesną patrzałem,
Dziś twoje przyrzeczenie spełnioném mieć chciałem.

Alzyra.

Bo zmusiłeś mię do téj straszliwój ofiary;
Lecz spełnić te przysięgi, o zbrodniu bez miary!
Oto dzień ten okropny, gdzie wszystko straciła!
Gdzie ta ręka Guzmaną, co się ośmieliła
Obalić wielkie państwo, biednych dzieci słońca.
Czyż dzień ten ma być wróżbą dni okropnych końca?

Montez.

My dni szczęścia lub nieszczęść jesteśmy sprawcami.
Rzuć przesady kapłanów władające nami,
Jakie ludom w ciemnocie dziady przekazały.

Alzyra.

W tym dniu samym niestety! mściciel kraju śmiały,
Zamor, ma nadzieja poległ z zgubnej rany,
Zamor, przez cię samego za zięcia wybrany.

Montez.

Jak ty, równie łązy lałem nad jego popioły,
Lecz być wierną umarłym, to próżne mozoły.
Tak idź więc do ołtarzy, swych uczuć władczyni,
I niech cię bezrozumną twa miłość nie czyni.
Tyś winna całą duszę dla praw Zbawiciela,
I zawrzeć owe związki sam cię Bóg ośmiela;
On cię woła przed ołtarz, kieruje twe kroki,
Uśłuchaj głosu Jego.

Alzyra.

Mój ojczy, jakież sprawiasz dla mnie żal głęboki!
 Znam dobrze co jest ojciec, jaka jego władza,
 Poświęcić się, gdy każe, powinność doradza;
 A moje posłuszeństwo przechodzi granice,
 Jakiego żądać mogą od dzieci rodzice.
 Me oczy do téj chwili patrzyły twojami:
 Z twój wolim się rozstała z bogami mojami.
 Ani żal mi tu onych upadłej świetności,
 Przed tym Bogiem, co uczy w nieszczęściu stałości.
 Lecz twoje obietnice w mych zgryzot godzinie,
 Że wieczny pokój Jego zapełnia świątynie,
 Że te prawa Chrystusa i czyste i błogie,
 Potrafią mego serca zgoić rany mnogie.
 Uwiódłeś moję słabość, bo ten grot zwyciężki
 Na łonie nawet Boga zadaje mi klęski.
 Niesie obraz do serca nigdy nieczmazany,
 Bo tu Zamor w nim żyje, bo Zamor kochany;
 Ukaz! gdy się podoba, te święte zapaly,
 Co nad śmiercią i czasem zwyciężyć umiały.
 Tę miłość nieśmiertelną przez ciebie nadaną,
 I złącz córkę z tyranem przez niego kochaną.
 Mój kraj tego wymaga, spełnię twe rozkazy;
 Ale drżij na te węzły, tak pełne obrazy,
 Raz jeszcze mówię, zadrżij i pomnij na Boga,
 Ty! co mi rozkazujesz u ołtarzy proga
 Przysiękać małżonkowi, co go mi dziś dają
 Uczucia, które wiecznie innemu palają.

Montez.

Cóż słyszę? moja córko! oszczędź mój starość,
 Zaklinamę na to imię najświętszej miłości.

Na te losy złowrogie, zmienne od twój ręki,
 Na to serce ojcowskie, co mu sprawiasz męki.
 Nie dozwól, by dni reszta była mi dotkliwą;
 Wszak zawszem pragnął widzieć, byś żyła szczęśliwą.
 Ciesz się memi czynami, lecz niech cię Bóg broni
 Zatruc szczęście, za którym niełatwo się goni.
 Bo oto zawód nowy dla cię ułożony,
 Jest ręką powinności na zawsze skreślony.
 Ten lud w jękach do ciebie zwraca swe błagania,
 W tobie widzi nadzieję, słyszysz jego łkania.
 Umiěj się powściągnąć.

Alzyra.

Czyż więc warto się sztuki nauczać zmyślania?
 O niestety! jakąż umiejętność?

SCENA V.

GUZMAN, ALZYRA.

Guzman.

Mam słuszny, zda się, powód użalania,
 Bo nie tu nie ma względów na moje zapęły,
 Ten cały sposób działań ze mną opieszały.
 Wstrzymałem me rozkazy szybkie do skarcenia
 Nieprzyjaciół, dla których żądasz przebaczenia.
 Wolność im powrócona, lecz wstydzić się muszę,
 Jeśli ten dowód słaby rozczuła twą duszę:
 Sądzę, że mi cię daje nie moja tu władza,
 Lecz jedynie twe serce mą miłość nagradza.
 I nigdy te w mój głowie nie były marzenia,
 By ci tyle me szczęście sprawiało cierpienia.

Alzyra.

Oby tylko nie chciały nieba zagniewane
 Przemienić dnia owego w chwilę oplakane!
 Jakaś trwoga okropna odbiera mi siły,
 Na czole mieszka boleść, oczy blask straciły.
 Bo ani mój charakter, ani moje lica
 Nie rzekły, że skłamała choć raz ta dziewica.
 Kto zmyśla swe uczucia, ten zdolny do zdrady,
 To sztuka europejska, nie pójdę w jej ślady.

Guzman.

Achl ileżto szczeroty w tych słowach się mieścił
 Zamor jeszcze twą pamięć swém imieniem pieści.
 Ten Kacyk uporczywy, poległy wśród boju,
 Jeszcze z grobu powstaje, by nie dać pokoju.
 Żyjącemu pokonał, zmarły mi bojaźnią,
 Uspokój żale za nim, co mą dumę drażnią.
 Twąś powinność, me imię tym czynem skalala,
 To serce łez zazdrości, coś za nim wylała.

Alzyra.

Guzmanie! wstrzymaj gniewy twój zapalczywości!
 Przeciwnik, co śpi w grobie, nie wzbudza zazdrości.
 Wyznaję, iż odemnie był silnie kochany,
 Ten Zamor co ojczyźnie tak całkiem oddany:
 W nim przyszła ma nadzieja, w nim moje rozkosze!
 Kochał mię, i ja cienie jego łzami rosę.
 Niech cię niebo uchowa szydzić z méj boleści,
 Ztąd poznaj moję stałość i zapal niewieści;
 Gdybyć duma rzuciła, ten własny morderca,
 Pozyskaj jak on równie, tobie wierne serca.

SCENA VI.

Guzman.

Wyznaję, że jój duma i wyraz szczerości,
 Podobać się umieją mojej wyniosłości.
 Dość już tego; nie zniosę, by ten kaprys dziki,
 Trudniejszym był zwalczenia, niż kraj Ameryki.
 Prosta bowiem natura, tworząca jój wdzięki,
 Dała serce okrutne, co mi sprawia męki.
 Lecz sędzę, że czas kiedyś ugiąć ją dozwoli,
 Wszystko mi tu podlega, prócz jój tylko woli;
 Aby jeszcze hymenem została złączona,
 A zwycięzca tych krajów wszystkiego dokona.

Koniec aktu pierwszego.

AKT II.

SCENA I.

ZAMOR, AMERYKANIE.

Zamor.

Bracia! których odwaga mało znana ziemi,
 Rodzi się wśród burz świata z chwilmi nieszczęsnemi!
 Czcigodni towarzysze złych losów kolei!
 Czyż ujrzeć śmierć lub zemstę już nie ma nadziei?

Nigdyż ręki nie damy Alzyrze, krajowi?
 Nigdyż życia nie weźmiem temu Guzmanowi?
 Nigdyż kary nie dozna ten srogi zwycięzca,
 Aby został przykładem, jak kończy ciemieźca!
 Bezsilne bogi naszej rozległej dziedziny!
 Coście ją obcym bogom dali bez przyczyny!
 Sześćset tylko Hiszpanów, swém palném żelazem
 Zniosło tron mój i wasze świątynie zarazem.
 Wy nie macie ołtarzy, jam nie na państw styrze,
 Na domiar, szczęściem stracił, jakim miał w Alzyrze!
 Biegałem z memi troski, hańbą i żałami,
 Po piaskach nieprzebytych, mieszkałem z lasami.
 Bo od strefy gorącej, i jak świat szeroki,
 Gwiazda dzienna widziała moje błędne kroki.
 Aż tam, gdzie naszej ziemi już świecić przestaje,
 Nowy rok nam sprowadza i wraca w swe kraje.
 Wasza przyjaźń, starania i zapal walczenia,
 Wracają mi nadzieję mych planów spełnienia.
 Tu myślę dziś nakarmić dwie namiętności:
 Poświęcić serce moje zemście i miłości.
 Tu wybór zgromadzony jest mężów straszliwych,
 Nieprzyjaciół wieczystych naszych panów cheiwych.
 Lecz kroki ich wstrzymane w tych lasów pustyni,
 By zważali na mury co w nich tyran czyni.
 Przybywam, gdzie chwytając nas nieludzka tłuszcza,
 Kładzie ciężkie okowy i w głąb przepaść puszcza.
 Wreszcie, z miejsc tych piekielnych był nam powrót dany,
 Tém bardziej miły wtedy, że był niespodziany.
 Bracia! gdzież jesteście? znajdziem duszę szczyrą?
 Co powie: kto tu rządzi, co robi z Alzyrą?
 Czy Montez nosi pęta, lub jeszcze przy życiu?
 Czy wlecze swe nieszczęścia w tém straszném ukryciu?
 Drodzy i nieszczęśliwi współbracia Zamora!
 Zawsze przed losem moim jest jakaś zaporą.

Amerykanin.

W różnych miejscach wraz z tobą do kajdan wtrąceni,
 I ścieszki nieznani w ten pałac wwiedzeni:
 Cudzoziemcy, nieznani u ludu dzikiego,
 Co cię może obchodzić, nie znamy tego.
 Nieszczęsny! gdy już takie twoje przeznaczenie,
 Że cię tyran posyła w srogięj śmierci cienie;
 Umrzec wraz z tobą wszystkich jednogodne głosy,
 Bośmy godni cię kochać, godni dzielić losy.

Zamor.

Prócz honoru zwycięstwa, każdy rycerz prawy,
 Nie widzi nic szczytniejszém nad śmierć pełną sławy.
 Lecz ginąć wpośród hańby, mieć z niesławy bliznę,
 I zostawiać konając w pętach swą ojczyznę;
 Umiierać bez zemśczenia z nieprzyjawnęj ręki
 Tych zbójców Europy, co nam niosą męki,
 Co krwią naszą przesiąkli, naszych skarbów chciwi,
 Téj ziemi przywłaszczonęj niszczyciele mściwi:
 Co mię śmieli oddawać na srogie katusze,
 Bym za dobrą znikome, wśród mąk oddał duszę:
 Ciągnąć wreszcie do grobu drogich nam współbraci;
 I spoglądać na szczęście, co się wiecznie traci,
 Oddawać mą Alzyrę nikczemnęj wściekłości;
 O! taka śmierć jest straszną, dreszcz przejmuję kości.

S C E N A II.

ALWAREZ, ZAMOR, AMERYKANIE.

Alwarez.

Żyćcie, bądźcie wolnymi!

Zamor.

O nieba! cóżto za głos uderza me uszy?
Jakażto wreszcie cnota nieznana méj duszy?
Starzec to, czy bóg jaki, co mię tu zdumiewa,
Postać twoja Hiszpana, i łaski rozlewał
Jestżés królem? to miasto zna twoje rozkazy?

Alvarez.

Nie; lecz mogę niewinność chronić od obrazy.

Zamor.

Jakaż jest twoja godność, starcze zbyt wspaniały?

Alvarez.

Oto ta, by nieszczęsnych oczy nie płakały.

Zamor.

I któż ci może natchnąć tak szczytnego ducha?

Alvarez.

Bóg i moja religia, kto jój wiernie słucha.

Zamor.

Bóg? twa religia? Co! tyrany szalone!
Te potwory, bez końca krwią ludzką pojone,
Co ziemię wyludniają ich okrutne czyny,
Niszcząc naszą ojczyznę i biorąc jój syny;
Na których chciwość straszną, aż przejmuję trwoga!
Oni mają nie tego, co ty ojcie Boga!

Alvarez.

Tenże sam Bóg jest u nich, lecz go znieważają;
 Zrodzeni wśród praw świętych zbrodni się oddają.
 Wszyscy są omamieni blaskiem swęj godności,
 Gdy znasz tylko ich zbrodnie, wiedz me powinności
 Dwa razy jak już słońce w swym bystrym pochodzie
 Świeciło w mojej ziemi i w twoim narodzie.
 Wtedyto jeden z waszych, o cnoty zaszczycie!
 Pan zupełny mych losów darował mi życie.
 Od téj chwili me serce wasze troski dzieli,
 Widzę w twoich współbraciach moich przyjacieli.
 Umierałbym szczęśliwy, ta myśl moja szczerza,
 Gdybym znalazł dni moich zbawcę, bohatera.

Zamor.

Po rysach, po tym wieku i téj rzadkiej cnotcie,
 Nie wątpmy, że to on jest Alvarez w istocie.
 Znaszże ty między nami owe ramię dzielne,
 Którém niebo broniło twoje dni śmiertelne.

Alvarez.

Cóż słyszę? o prawdziwa niebios opatrności!
 To on! właśnie, ten przedmiot méj czulój wdzięczności.
 Ach! oczy moje biedne, znękané latami,
 Jakże to czas niemały, śledziłem go wami?
 (bierze go w objęcia).
 Mój synu! cóż za cnotę widzę w twéj osobie!
 Chciej mieszkać w tém ustroniu, będę ojcem tobie:
 Śmierć sama szanowała dni mojej starości,
 Bym miał czas się wypłacić z długu méj wdzięczności.

Zamor.

Gdyby naród twój słynny z okrucieństw na ziemi,
 Zablysnął choć raz w życiu cnotami twojemi;
 Wierz mi szczerze, iż świat ten dziś przez was zniszczony,
 Niósłby sam w twarde jarzmo kark swój pochylony.
 Lecz o ile twa dusza dobrodziejstw słynie,
 O tyle oni sieją strach w każdej rodzinie:
 I wolę raczej umrzeć niżeli żyć z niemi,
 Bo to, na co czekałem, najdroższe na ziemi,
 By wiedzieć, czy ich ręka, co się w krwi broczyła,
 Nieszczęsnego Monteza niewolę skończyła:
 Czyli ojciec Alziry widzisz jak łza tryska,
 Którą drogie wspomnienie z mych oczu wyciska.

Alvarez.

Nie kryj się z twemi łzami z tą żalu pociechą,
 One to są ludzkości najpiękniejszą cechą:
 Biada sercom nieczułym! bądźmy tego pewni,
 Których boleść drugiego nigdy nie rozrzewni.
 Więdz o tém, twój przyjaciel pełen lat i sławy,
 Obok mnie pędzi życie ciche bez obawy.

Zamor.

Czy mogę go widzieć?

Alvarez.

Tak, wierz mi, oby tylko mógł w dzisiejszej porze
 Wskazać ci, jak masz myśleć i żyć na tym dworze!

Zamor.

Co Montez mówisz?...

Alvarez.

Pragnę, by jego ust własnych wyrazy,
 Skreśliły w tym przedmiocie prawdziwe obrazy,
 O naszym zjednoczeniu węzłami ślubnemi,
 Co połączą na przyszłość mych braci z twojemi.
 Tutaj powiem, jak wielką radość nam sprawiła
 Ta chwila szczęścia syna, co nam niebo zsyła.
 Odchodzę, bo tak sprawy twoje wymagają,
 Aby ścieśnić te węzły, co nam pokój dają.

SCENA III.

ZAMOR, AMERYKANIE.

Zamor.

Widoczna łaska niebios tutaj na mnie spływa,
 Tu w tém miejscu człek cnoty do mnie się odzywa:
 Alvarez: to Bóg istny między przewrotnemi,
 Zesłany, by złagodzić obyczaje ziemi.
 Powiada, że ma syna, ten mym bratem będzie,
 By tylko równie z ojcem cnotę wielbił wszędzie!
 O dniu szczęsny! nadziejo dla serca w rozpaczyl
 Po trzech latach, ów Montez, znowu cię zobaczy!
 O ty! droga Alzyro, dla której walczyłem,
 Dla której ręki wszystko w świecie poświęciłem;
 Mogę cię znaleźć tutaj? i te chwile złote,
 Żeś mi wierność chowała, tę najpięrszą cnotę?
 Bo nieszczęsny jest zawsze pełen zaufania,
 Lecz jakież to się starzec mym oczom odsłania?

SCENA IV.

MONTEZ, ZAMOR, AMERYKANIE.

Zamor.

Tyżto Montez? ktorego w mojej trzymam dłoni,
 Ujrzyj twego Zamora, za którym śmierć goni;
 Co dla twojej obrony rzucił grobów cienie,
 By ci swojej wierności dał nowe stwierdzenie.
 Na Boga! gdzież Alzyra, jaki los ją czeka?
 Jednem słowem, wróć życie, lub niechaj ucieka.

Montez.

Ach nieszczęsny kacykul na głos twojej klęski,
 Oddawał się żalowi mój charakter mężki;
 Myśmy ciebie wzywali jęki żalobnemi,
 Przy grobie usypanym rękami naszemi.
 Ty żyjesz, niech ci nieba dadzą los spokojny!
 Niech tu nasze nieszczęścia skończą się bez wojny:
 Jakaż więc myśl Zamorze, wiedzie cię w te progi?

Zamor.

Zemścić ciebie, twą córkę i mych ojców bogi!

Montez.

Co mówisz?

Zamor.

Wyszedłże ci z pamięci ów dzień pełen trwogi?
 Gdzie ten Hiszpan okrutny, wśród krwi i pożogi

Poobalał i zniszczył ostatnie pokłady
 Tych murów, które niegdyś wznosiły naddziady.
 Guzman było mu imię, a los co mnie gniecie,
 Dał mi go poznać z zbrodni działywanych na świecie.
 To imię mój Montezie, tak dla mnie złowieszcze,
 Grabieżą i morderstwem cechuje się jeszcze.
 Na to imię chwytają twą córkę jedyne,
 I ciągną do niewoli całą jej rodzinę;
 Zburzono tę świątynię, te drogie ołtarze,
 Przed którymi z Alzyrą miałem stanąć w parze:
 Ciągniono mnie ku niemu na jakież męczarnie,
 I cierpieniom okrutnym oddano bezkarnie;
 By porwać moje mienie, od niego tak czone,
 Bożyszcze jego ludów, przezemnie wzgardzone!
 Zostawałem umarły wśród srogich katuszy,
 Czas nie puszcza w niepamięć krzywd szlachetnej duszy.
 Przybywam po trzech latach zebrać mych współpraci,
 Których wspólna nienawiść najeźdźcom odpłaci.
 Nateraz w lasach skryte waleczne ich szyki,
 Tu zginą, lub się zemszczą za kraj Ameryki.

Montez.

Żal mi cię i poświęceń, co szak darmo trwoni,
 Po co gonić za śmiercią, co od ciebie stroni?
 Cóż mogą twoi bracia przy swojej stałości,
 Gdy ich włócznie grot mają tylko z rybiej ości,
 Te szable tak bezsilne, zrobione z kamieni,
 Żołnierze prawie nadzy i nie wyćwiczeni.
 Przeciw owym olbrzymom i tyranom świata,
 Z których ręki żelaznej grzmot palny wylata,
 Co się na nas rzucają z tak wielką szybkością,
 Jak wiatry łamią drzewa zgniekane starością!
 Świat ustąpił, i my też ustąpmy Zamorze.

Zamor.

Ja się zginać, ja czolgać, nigdy być nie może!
 Ach Montez! chciej mi wierzyć, te gromy ich broni,
 To żelazo, co wreszcie ich zdobi i chroni;
 I te szybkie bieguny, co walczą pod niemi
 Mogły za ich przybyciem strach roznieść po ziemi:
 Lecz ja się im urągam, rzucam wzrok wzgardliwy,
 Zwyciężyć ich potrafi umysł nietrwożliwy,
 Ich nowość tylko sama świat ten w pętach trzyma,
 Łekliwy jój ulega, bo ten ducha nie ma.
 Złoto, świetna trucizna, co te rodzą kraje,
 Przyciąga nieprzyjaciół, obrony nie daje.
 Żelaza brak tym rękóm, bo nam skąpe nieba,
 Dać je chciały tym ludom, które zwalczać trzeba.
 Lecz nareszcie, by zemścić te kraje znękane,
 W miejsce tego żelaza są nam cnoty dane:
 Dziś walczę za Alzyrę w szalonym zapale.

Montez.

Niebo ci jest przeciwne, hamuj swoje żale,
 Czasy są bardzo zmienione.

Zamor.

Ach cóż to uszy usłyszały moje!
 Że się czasy zmieniły, czy nie serce twoje!
 Czy twa córka jest wierną przysięgom i słowie,
 Czy Zamor jój pamięci jest zawsze na jawie?
 Lecz ty oczy odwracasz, jęk słyhać, lzy płyną!

Montez.

Nieszczęsny Zamorze!

Zamor.

Nie jestemże złączony z twą drogą rodziną?
Czyż tyrani twą piękną duszę zeszpecili?
I gdy jesteś nad grobem, zbrodni nauczyli.

Montez.

Nie ciąży na mnie wina, a owi zwycięzcy,
Próżno sądzisz, by sami w nich byli ciemieźcy.
Jest z nich jeden, którego tutaj wiodą nieba,
Z tą myślą, że nas uczyć, nie zwyciężać trzeba.
Onto sieje wpośród nas, całkiem nowe cnoty,
Wskazując nieśmiertelność przy duchu prostoty,
I uczy trudnej sztuki o szczęściu człowieka:
Jak żyć, myśleć, i co go w przyszłym życiu czeka.

Zamor.

Co mówisz? jaką zgrozę usta twe wydały!
Alzyra niewolnicą, ty dajesz pochwały!

Montez.

Ona nie jest niewolnicą.

Zamor.

AchMontezie, ty mój ojcie drogi!
Przebacz moim nieszczęściom, wybaczonej twój.
Uważ, że ona moją przez ciąg życia cały,
I takie to przysięgi me bogi słyszały:
Gdy ma być wiarołomną, niechaj umrę wprzód.

Montez.

Nie świadczyć się temi bogi, tworam obludy;
Te straszidła okropne już dla mnie nieznane:
Przed Bogiem tutaj czczonym wszystkie zdruzgotane.

Zamor.

Co mówisz! twa religia, mych ojców świętości!....

Montez.

Poznałem onęj nicość, rzuciłem śmieszności.
Oby mógł ten Bóg bogów, w tym świecie nieznany,
Zstąpić do serca twego, zgoić jego rany!
Obyś mógł lepiej poznać, nieszczęsny Zamorze!
Ową cześć, jaką tutaj odbierasz o Boże!

Zamor.

Jaka cześć! jakie cnoty! tento ich czyn srogi,
Zrobił cię niewolnikiem, wydarł ci twe bogi.
Dlatego się ich wyparł, byś zdradził umowy,
Alzyraż naśladuje twój charakter nowy?
Strzeż się....

Montez.

Nie widzę tu potrzeby, serca mego bronić,
Lecz los mój błogosławić, nad twoim lzy ronić.

Zamor.

Złamawszy swoje słowo, możnaż żyć swobodnie?
Szanuj boleść, jaką mi zadały twe zbrodnie.

Szanuj serce nareszcie, kolejno znękanie,
 To uczuciem dla Boga, zazdrością szarpane.
 Tutaj śledzę Guzmána, Alzyrę spojieram,
 Wiedź mię do niej, niech u stóp kochanki umieram.
 Nie wydzieraj mi szczęścia choć raz jój widzenia,
 Nie pograżaj Zamora w straszne uniesienia:
 Odzyskaj ludzkie serce, coś go wyrwał sobie.

SCENA V.

MONTEZ, ZAMOR, AMERYKANIE, STRAŻE.

Jeden z warty (do Monteza).

Cała zwłoka obrzędów, tylko panie w tobie.

Montez.

Zaraz ci towarzyszę.

Zamor.

Nie rzucam cię, choć czuję z tego żal głęboki.
 Na jakąż uroczystość zwracasz swoje kroki,
 Montezie?....

Montez.

Bądź zdrow, wierzaj mi, uchodź z téj ustroni.

Zamor.

Choćby niebo piorunnéj wzięło na mnie broni,
 Pójdę za tobą.

Montez.

Przebacz ojca czujności, że użyję straży.

(do straży):

Nie pozwólcie by zbliżyć chciał się do ołtarzy;

Wy w pogaństwie schowani i wasi rodzice,

Moglibyście znieważyc chrześcian tajemnice:

Nie do mnie tu należy narzucać ci prawa,

Tu Guzman rozkazuje, oraz jego sława.

SCENA VI.

ZAMOR, AMERYKANIE.

Zamor.

Cóż słyszę? imię Guzman! o zdrado! wściekłość!

O jakież domiar zbrodni! zniewagą podłości

On służy Guzmanowi! czyż mię słuch nie zwodzi?

Czyż już nikt na tym świecie z cnotą się nie rodzi?

Alzyra! czyż i ona tych zbrodni sprawczyni?

Czyż ssala tę truciznę, co w nas podłość czyni?

Przez ciemięzców wniesioną tutaj w nasze kraje,

Co dni nasze ścigają, psują obyczaje,

Guzman tutaj? co począć? chcę jego zagłady!

Amerykanin.

Postuchaj, dać ci pragnę te zbawienne rady:

Starzec co cię ocalił, ten słynny cnotami,

Wkrótce z synem swym stanie przed twemi oczami;

Byśmy tylko się mogli znaleźć w miasta branie,

Pokażemy, jak jeszcze silném nasze ramię,
 Tu się pierwszy początek naszych planów wszczyna,
 Ochrońmy Alwareza, podobnie i syna.
 Widziałem tych okopów silne uzbrojenia,
 Te sztuki nad naturą straszne wysilenia,
 Te trójkąty, kanały, te baszty sterczące,
 To pioruny miedziane na wałach huczące,
 Te sidła wojownicze, co tak śmiercią grożą.
 Jakkolwiek zdumiewają, jednak mię nie twożą,
 Niestety! nasi bracia okuci w kajdany,
 Choć tych miejsc nienawistnych z muru stawia ściany;
 Choć ręka ich więzami niewoli skalana,
 Buduje to siedlisko dla dumy tyrana:
 Lecz wierz mi, skoro tylko ujrzą swych mścicieli,
 Ich ręce się podniosą na ciemężycieli,
 Oni sami poniszczą te straszliwe dzieła,
 Narzędzia ich ohydy, co niewola wszczęła.
 Nasi bracia, żołnierze, w tych krwawych kanałach,
 Drogę ci utorują, po ich skrzepłych ciałach.
 Idźmy i wracajmy, by na niecne głowy,
 Skierować te pociski, ten ogień spiżowy;
 Tę siarkę zapaloną wśród naszej trwogi,
 Czciliśmy jakby ogień rzucony przez bogi.
 Poznajmy i obalmy téj potęgi prawa,
 Jakiemi się z ciemnoty duma naigrawa.

Zamor.

Nędzarze znakomici ! godni mojej cześci,
 Co mię pojąć umiecie, czuć moje boleści!
 Oby można Guzmaną skarać dzikie czyny!
 Oby krew ta spłaciła krew naszej krainy!
 Smutne bóstwo! na krzywdę co otwierasz oczy,
 Zemsto! wspomóż, że tyran w własnej krwi się zboczy.

Niech umiera niestety! lecz jakże to boli,
 Gdy pragniemy ukarać, a jęczym w niewoli.
 Jarzmo losu naszego coraz ciężej gniecie,
 Montez zdradza, Alwarez znika nam na świecie.
 To co kocham, już może ten potwór posiada!
 I wątpię tylko o tém, ta w mych troskach rada.
 Cóżto za głosy biegą do tego siedliska?
 I pochodni jaskrawych płomień światło ciska?
 Słyszę dźwięki miedziane: tych ludów zwyczaje,
 Gdy pragną uczcić święto, lub się śmierć zadaje.
 Zobaczmy, czyli wyjść ztąd dozwolą nam nieba,
 Czy was zdołam ocalić, czy téż zginąć trzeba.

Koniec aktu drugiego.

AKT III.

SCENA I.

Alzyra.

Drogie cienie kochanka! we mnie wiary zdrada
 Stała się; Guzman wiecznie moim losem włada.
 A ocean, co przedziela oba te narody,
 Za słabe między nami położył przegrody.
 Już ja jego, bo śluby w świątyni zeznane!
 I przysięgi wzajemne w niebie zapisane!
 Ty! co mię ścigasz cieniu i krwawy i drogi!
 Ty świadku nieodstępny moich uczuć trwogi!
 Gdyby lży me kochanku! moje udrczenie
 Przedarły się aż w grób twój, poszły w duchów cienie,
 Jeslib Bóg ten ożywił, gdy już martwe kości,
 To serce bohatera, tak pełne wierności,

Tę duszę, co mię silnie do skonu kochała!
 Przebac mi, żem innemu, mą rękę oddała:
 Pójść potrzeba było za ojca skinieniem,
 By mię lud drogiem matki nazywał imieniem:
 Bym pomocą nieszczęsnym w przykrych razach była,
 Bym łzę braciom w niedoli nieraz osuszyła.
 Widzisz Zamor! jak losom ulegać nam trzeba,
 I pełnić tę powinność, co wskazują nieba.
 Znoś to jarzmo, pod którym uczucia jęczały,
 I te węzły co leż mię tyle kosztowały.

SCENA II.

ALZYRA, EMIRA.

Alzyra.

Czyż zawsze chcą wydzierać mojej obecności
 Mieszkańców miejsc tych, drogich dla mojej młodości?
 I nie mogę się widzieć z temi nieszczęsnymi,
 Ani czuć téj słodyczy: płakać razem z niemi?

Emira.

Ach! raczój się obawiaj wściekłości Guzmána,
 I drżij o tę ojczyznę, co już tak znękana.
 Grożą nam, i w tych słowach słyhać wieści brzmienia,
 Że ten dzień będzie dla nas dniem strasznym zniszczenia.
 Dziś już bowiem sztandary wojenne rozbite,
 I ognie zapalają w wnętrzach ziemi skryte,
 Podobno się zgromadza i trybunał krwawy,
 Gdzie Montez jest wezwany także do téj sprawy.
 Oto wszystko, o czém wiedzieć mogę.

Alzyra.

O nieba! jakżem przez was zawiedziona!
 I jakimż podziwieniem, stoję uderzona!
 Cóż to! prawie z mych objęć, od stopni ołtarza
 Guzman ramię podnosi, mym braciom zagraża!
 Wykonałam przysięgę, co mi karą staje!
 Przysięgę, co mię wiecznie niewoli poddaje!
 O hymenie! świecić! gwiazda nieszczśliwa,
 Gdy cię ojciec układał i wiązał ogniwa.

SCENA III.

ALZYRA, EMIRA, CEFANIA.

Cefania.

Pani! jeden z tych jeńców wolności wrócony,
 W dniu owym, gdy twój hymen został ogłoszony,
 By się rzucić do nóg twych, błaga zezwolenia.

Alzyra.

Pozwalam mu z ufnością do siebie zbliżenia.
 Dla niego, jego braci zawsze jestem tkliwa,
 W nich bowiem głos ojczyzny do mnie się odzywa.
 Lecz czemuż jeden tylko żąda téj rozmowy?

Cefania.

Chce odkryć tajemnicy jakiś powód nowy,
 Tento sam jest wojownik, jego ręki siła,
 Niegdyś ojcu Guzmana życie ocaliła.



Tę duszę, co mię silnie do skonu kochała!
 Przebacz mi, żem innemu, mą rękę oddała:
 Pójść potrzeba było za ojca skinieniem,
 By mię lud drogiem matki nazywał imieniem:
 Bym pomocą nieszczęsnym w przykrych razach była,
 Bym łzę braciom w niedoli nieraz osuszyła.
 Widzisz Zamor! jak losom ulegać nam trzeba,
 I pełnić tę powinność, co wskazują nieba.
 Znoś to jarzmo, pod którym uczucia jęczały,
 I te węzły co leż mię tyle kosztowały.

SCENA II.

ALZYRA, EMIRA.

Alzyra.

Czyż zawsze chcą wydzierać mojej obecności
 Mieszkańców miejsc tych, drogich dla mojej młodości?
 I nie mogę się widzieć z temi nieszczęsnymi,
 Ani czuć téj słodyczy: płakać razem z niemi?

Emira.

Ach! raczej się obawiaj wściekłości Guzmána,
 I drżij o tę ojczyznę, co już tak znękana.
 Grożą nam, i w tych słowach słyhać wieści brzmienia,
 Że ten dzień będzie dla nas dniem strasznym zniszczenia.
 Dziś już bowiem sztandary wojenne rozbite,
 I ognie zapalają w wnętrzach ziemi skryte,
 Podobno się zgromadza i trybunał krwawy,
 Gdzie Montez jest wezwany także do téj sprawy.
 Oto wszystko, o czém wiedzieć mogę.

Alzyra.

O nieba! jakżem przez was zawiedziona!
 I jakiemż podziwieniem, stoję uderzona!
 Cóż to! prawie z mych objęć, od stopni ołtarza
 Guzman ramię podnosi, mym braciom zagraża!
 Wykonałam przysięgę, co mi karę staje!
 Przysięgę, co mię wiecznie niewoli poddaje!
 O hymenie! świecić! gwiazda nieszczęśliwa,
 Gdy cię ojciec układał i wiązał ogniwa.

SCENA III.

ALZYRA, EMIRA, CEFANIA.

Cefania.

Pani! jeden z tych jeńców wolności wrócony,
 W dniu owym, gdy twój hymen został ogłoszony,
 By się rzucić do nóg twych, błaga zezwolenia.

Alzyra.

Pozwalam mu z ufnością do siebie zbliżenia.
 Dla niego, jego braci zawsze jestem tkliwa,
 W nich bowiem głos ojczyzny do mnie się odzywa.
 Lecz czemuż jeden tylko żąda téj rozmowy?

Cefania.

Chce odkryć tajemnicy jakiś powód nowy,
 Tento sam jest wojownik, jego ręki siła,
 Niegdyś ojcu Guzmána życie ocaliła.

Emira.

Śledził cię zaena pani, w tych tu miejsc uboczy.
 Lecz Montez skryć go kazał przed twojemi oczy.
 Dusza jego w ponurym smutku pogrążona,
 Zda się wielkim zamiarem była owładniona.

Cefania.

Czoło jego zorane boleścią, troskami.
 Wymienił twoje imię i zalał się łzami;
 A przez żale tajemne wyraźnie wskazuje,
 Iż nie zna, jaki stopień twa godność zajmuje.

Alzyra.

Co za blask! jaka godność, tak przez was ceniona!
 Ten bohater być może z mej rodziny łona;
 Onto widział potęgę niegdys téj krainy,
 Albo téż o Zamorze przynosi nowiny,
 Któż wie? czy nie był świadkiem strasznego skarania,
 Przychodzi zemną mówić. O! próżne starania!
 Głos jego dręczy umysł męczarniom oddany,
 Zrani serce, i nowe otworzy mu rany.
 Lecz mniejsza, niechaj wejdzie uczucie nieznane,
 Mimo woli owłada me zmysły stroskane.
 W tym pałacu, gdzie lży me zraszają podłogi,
 Ni jednej jeszcze chwili nie miałam bez trwogi.

SCENA IV.

ALZYRA, ZAMOR, EMIRA.

Zamor.

Onażto mi wrócona? czyliż się nie mylę?...

Alzyra.

O nieba! jego rysy i głos znany tyle.

(upada w objęcia swój poufalęj).

Zamor... upadam i zaledwie żyję.

Zamor.

Poznaj twego kochanka.

Alzyra.

Zamor u stóp Alzyry!

Jestżeto złudzenie?

Zamor.

Do życia dla cię wrócić to przykład bez miary;

Bym u nóg twych przypomniał przysięgi ofiary,

O ty! droga istoto! bożyszcze mój duszy!

Którój usta twą miłość szeptały w me uszy,

Coś zrobiła? gdzież węzły, co nas tak spajały?

Alzyra.

Chwile szczęścia dziś dla mnie goryczą się stały!

Ileż bólów dzisiejsza radość mi zadała!

Ach Zamor! jakaż pora, żebym cię widziała?

Każde słowo sztyletem rani moje łono.

Zamor.

Ty mię widzisz i jęczysz!

Alzyra.

Bo chwila cię ujrzenia została spóźnioną.

Zamor.

Wieść o mojej tu śmierci biegła po ziemi,
 Gdyś się zdala od ciebie błakał z braćmi memi.
 Od czasu jak cię zbójcy rwali z mego łona,
 I kiedyś cię odzyskać, myśl była stracona:
 Czy wiesz ty, że ten Guzman, co tu wszystko kruszy,
 Jakiemi męczarniami doświadczał mój duszy?
 I ten luby, co wejść miał do twojego łóża,
 Alzyro! ledwie umknął katowskiego noża?
 Ty drżysz i gniew ten czujesz, co się we mnie rodzi,
 A okropność mój krzywdy w duszę twą przechodzi:
 Bóg istotnie, miłości co tój przewodniczy,
 Nie dozwolił tu śmierci wziąć ze mnie zdobyczy,
 Tyś pewno mego Boga jeszcze nie zdradziła,
 I do wiary złamania myśl nie przystąpiła,
 Podobno w owych miejscach, Guzmana mieszkanie,
 Porwę cię, niech tu nawet ślad twój nie zostanie.
 Zemścijmy się! chciej przeto wydać mi ofiarę.

Alzyra.

Tak, zemścić się winieneś, i wymierzyć karę.
 Uderz...

Zamor.

Takąż wiarę, przysięgi, ta ziemia wydaje!

Alzyra.

Odbierz życie, które mi ciężarem się staje.

Zamor.

Ach Montez, czyż nie mogłem mieć w tobie ufności!

Alzyra.

Śmiałże ci co wyjawić, z téj czarnej podłości?

Wiesz przynajmniej dla kogom dziś cię opuściła?

Zamor.

Mów, bo żadna okropność mnieby nie trwożyła.

Alzyra.

Ujrzyj przepaść, do której wiedzie przeznaczenie;

Zobacz domiar zbrodniczy, równie jak zhańbienie.

Zamor.

Alzyro!

Alzyra.

To Guzman...

Zamor.

Wielki Boże!

Alzyra.

Ow to zbrodzień, ten życia twojego morderca,

W téj chwili pragnie zostać panem mego serca.

Zamor.

On!

Alzyra.

Mój ojciec z Alwarezem zwiedli młodość moję,
 I na nią ułożyli związków plany swoje.
 Twa zbrodnicza kochanka u stopni ołtarzy,
 Pod twemi prawie oczy te śluby kojarzy.
 Porzuciłam ojczyznę, kochanka, me bogi:
 W imię trojga, weź życie, tyle pełne trwogi:
 Patrz! to serce, na razy twoje się wydiera.

Zamor.

Alzyro, mąż twój Guzman? jestże prawda szczera?

Alzyra.

Tyle mówić tu mogę w obronie méj winy,
 Iż mój ojciec nademną jest władca jedyny.
 Błąd jaki nas omamił, me walki, mozoły,
 Te łąy lat trzy płynące nad twemi popioły;
 Nareszcie niewolnica Chrystusa wyznawcy,
 Oddałam się ich Bogu, jako ludów zbawcy:
 Kochałam cię, lecz serce boleścią trawione,
 Rzuciło twoje bogi, tę słabą obronę:
 Lecz nie szukam i nie chcę wcale tłumaczenia;
 Niemasz go, gdy miłości czuję oskarżenia.
 Ty żyjesz, dość mi na tém, nieszczęsnam na ziemi,
 Przetnij dni me bolesne, co już nie są twemi.
 Cóżto! ty patrzysz na mnie, ach z jakąż słodyczą?

Zamor.

Jeslim od cię kochany, nie jesteś zbrodniczą;
 Gdy jeszcze mam twe serce, tom bardzo szczęśliwy!

Alzyra.

Kiedy Montez, Alvarez, może i bóg mściwy
Tak chcieli, do świątyni poszłam nieszczęśliwa,
Bym tam we łzach, hymenu spajała ogniwa,
Tak przykuta do niego węzły wieczystemi,
Mieszałam twoje imię z modłami mojemu.
Wszyscy wiedzą żeś serca mego zawsze panem,
Ziemia, niebo, tom rzekła nawet przed Guzmanem.
I gdy w strasznej tej chwili trwa nasza rozmowa,
Że cię kocham, ostatni raz mówię te słowa.

Zamor.

Czyliż dziś tylko masz być przezemnie widziana?
I gdy cię odzyskuje, byś była porwana!
Ach jeśli jeszcze miłość w twém się sercu rodził....

Alzyra.

O nieba! to ten Guzman z swym ojcem nadchodzi.

SCENA V.

ALWAREZ, GUZMAN, ZAMOR, ALZYRA,

ORSZAK.

Alvarez (do swego syna).

Zbawcę obok Alzyry mojego widzicie;

(do Zamora):

O młodzieńcze! który mi zachowałeś życie!

Przystap i pomnóż chwile dziś mojej radości.
I podziel szczęście syna, płynące z miłości:

Zamor.

Cóż słyszę? Guzman syn twój, ten niszczyciel ludzi!

Alzyra.

Nieba! klęski odwróćcie, co ta chwila zbudzi.

Alwarez.

W jakimże podziwieniu...

Zamor.

Cóż to? nieba! czy to wasza wina?
Że ten ojciec cnotliwy ma tak złego syna?

Guzman.

Nieszczęsny! zkaż szaleństwo takie tobą miota?
Czy cię wiedzieć, kto jestem, nie bierze ochota?

Zamor.

Postrach mój ojczyzny
Pomiędzy nieszczęsnymi, co tworzysz swobodnie,
Poznaj we mnie Zamora i zobacz twe zbrodnie!

Guzman.

Ty!...

Alvarez.

Zamor!

Zamor.

Tak, tento, któremu barbarzyństwo twoje
Chciało odjąć mą sławę, nawet życie moje;
Tento, co z twój przyczyny, krwią się własną broczy
Ten sam, którego widok razi twoje oczy.
Grabieżco mych własności, co ci każe pycha,
Chcesz jeszcze wziąć to dobro, gdzie me serce wzdycha!
Dokończ i tém żelazem skarbem twojej ziemi,
Upredź ramię, by dni twe były bezpiecznemi.
A taż ręka, co ojca twego obroniła,
Oby kiedyś na tobie srodze się zemściła.
Wiem, że ludzie i bogi będą przychylni,
Żem ceniąc prawość ojca, sprzątnął syna z ziemi.

Alvarez (do Guzmána):

Ta rozmowa, o nieba! jak mię upokarza!
Czyż na to odpowiedzieć, twa się myśl odważa?

Guzman.

Bym chciał mu odpowiadać, ach co za myśl zdrożna,
I zbijać te zarzuty, gdy go skarcić można!
Kara nań wymierzona, jak chcą mieć przykłady,
Winna być odpowiedzią, podług mojej rady.

(do Alziry):

Twój umysł pani winien tém być nauczony:
Do jakiegoto stopnia jestem obrażony:

Bo jeżeli nie dla mnie, to choć dla swój sławy
Warto było zapomnieć téj miłosnej sprawy.
Ty, której lzy mi tyle sprawiają przykrości,
Bym za mą miłość znosił męczarnie zazdrości!

Alzyra.

(do Guzman):

Okrutny!

(do Alwarca):

A ty! wzorze, co cię niebo zsyła,

(do Zamora):

Ty! niegdyś ma nadziejo, gdym szczęśliwą była,
Ujrzyj jarzmo ohydy mego przeznaczenia,
I drżycie wszystko troje strachem przerażenia.

(pokazując na Zamora):

Oto! ten mój małżonek, przez ojca wybrany,
Wprzód nim ludzi ród owych był przezemnie znany,
Wprzód nim nam Europa włożyła kajdany,
Nim śmierć jego zgubiła kraj prześladowany.
Moje państwo w ruinie, gdzie były naddziady,
Wszystko się tu zmieniło, tylko wspomnień ślady:
Mój ojciec nieszczęśliwy, znękany latami,
Do Boga chrześcian przeszedł z swemi cierpieniami.
Boga biorę za świadka mojego sumienia;
Jak mi hymen bolesne sprawił udręczenia.
I ta straszna przysięga, u stóp tego Boga,
Co mię w ręce oddaje zawziętego wroga.
Jeslim dobrze nie znała, jakie nowe prawa,
To również jest mi drogą mojej cnoty sława.

Zamor! tyś drogi zawsze, zawsze kocham ciebie;
 Lecz być twoją nie mogę, bo przysięgi w niebie.
 Ty Guzmanie, któregom małżeństwa ofiarą,
 Wprzód nim twoją zostanę, zobaczysz się z karą.
 Któż z was spełni powinność, co zemsta wywiera?
 Kto przesyje to serce, co mu się wydziera?
 I zawsze mię tu ściga jakaś nieszczęść władza,
 Jednemum wiarołomna, drugiego się zdradza.
 Przez litość, niech z was który mój śmierci dokona,
 By na mnie nie ciążyły zdrajczyni imiona.
 Guzmanie! twoja ręka co krwią się szczyciła,
 Nie zadrży, by mię dzisiaj życia pozbawiła;
 Ukarz winną za prawa zgwałcone miłości,
 I choć raz w swoim życiu daj dowód słuszności.

Guzman.

Czyż się godzi urągać z mego pobłażania?
 I zdradzać moję dobroć, przez twe narzekania?
 Gdy mię prosisz o karę, przez własne żądanie,
 Wiédz o tém, że dziś Zamor straconym zostanie.
 Hej, żołnierze!

Alzyra.

Okrutny!

Alwarez.

Mój synu, chcesz zniszczyć przez to swe wawrzyny?
 Szanuj jego niedolę, uczcij piękne czyny:
 Jakże mnie stan dzisiejszy, o nieba! zasmucił!
 Jednemu dałem życie, drugi mi je wrócił!

Me dzieci! chciejcie poznać ten język miłości,
I strzeżcie się zatruwać chwil mojej starości.
A przynajmniejj

SCENA VI.

ALWAREZ, GUZMAN, ALZYRA, ZAMOR,

D. ALONZO.

Alonzo.

Panie! chciej dziś wystąpić z rozkazy swojemu,
Bo pola są zalane już ludy zbrojnemi,
Zmierzają ku tym murom, a imię Zamora,
Tak im silnie przodkuje, jak świetna Aurora.
To imię dla nich święte, lecąc pod niebiosy,
Miesza się z barbarzyńców wojennemi głosy.
Pod ich tarczmi złotemi, aż ziemie jęczały;
A ich krzyki wrzaskliwe echa powtarzały;
I w kolumnach ścieśnionych szli krokiem miarowym,
Co zwyczajem podobno u nich jeszcze nowym;
A ten naród, co niegdyś był ciężarem ziemi,
Dziś się wojny nauczył przykłady naszemi.

Guzman.

Idźmy i śmiało zaraz stawmy się przed niemi;
A za chwilę zobaczysz już ich zwalczonemi.
Bohaterzy Kastylii i dzieci zwycięztwa!
Ten świat dla was stworzony, wyście wzorem mężstwa.
Oni wasi słuzalce i dźwigać kajdany.

Zamor.

Czemuż człowiek ci równy, ma być twój poddany?

Guzman.

Niech go odprowadzą.

Zamor.

Czy ty śmiesz, tyranie mojej niewinności,
Karać mię za obronę moich praw wolności?

(do Hiszpanów którzy go otaczają)

Czyżto waszą ojczyzną były kiedyś nieba,
Że was ranić niewolno, tylko błagać trzeba?

Guzman.

Bądź posłuszny.

Alzyra.

Ach panie!

Alwarez.

Kiedys w takim zapale gniewem uniesiony,
Chciěj wiedziēć, żem przez niego został ocalony.

Guzman.

Myśl moja o zwycięztwie, ta rzecz już mi znana;
Biegnę, żegnam cię.

SCENA VII.

ALWAREZ, ALZYRA.

Alzyra (rzucając się do nóg Alwareza).

Ach panie! ściskam twoje kolana,
 Dla twojej tylko cnoty te hołdy oddaję,
 Raz pierwszy schylam czoło przed tobą, wyznaję.
 Chciój mię panie ukarać, o to proszę czynię,
 Chciój zemścić honor syna za żonę zdrajczynię;
 Lecz pierwszymi węzłami ma dusza związana,
 Nie znała, by drugiego mieć męża i pana.
 Zamor moim nazawsze, mą miłość posiadał,
 Gdyby nie on, już byłbyś swe życie postradał;
 Ach przebac mi. upadam pod tłokiem boleści.

Alwarez.

Zawsze dobroć w mém sercu dla ciebie się mieści;
 Żal mi ciebie, Zamora, będę twém ramieniem,
 Lecz pomnij, że ten związek jest dziś przeznaczeniem;
 Nie prowadź burz wicherzących w méj rodziny łono,
 Tyś mą córką i ciebie z moją krwią złączono.
 Wiem, że Guzman nieludzki, ta jest cała wina,
 Lecz ty w nim masz małżonka, ja w nim widzę syna,
 Jego dusza litości otworzyć się może.

Alzyra.

Czemuż on nie twym ojcem, o drogi Zamorze!

Koniec aktu trzeciego.

AKT IV.

SCENA I.

ALWAREZ, GUZMAN.

Alvarez.

Chciéj zasłużyć mój synu na korzyści owe,
Jakie ci los dał odnieść przez zwycięstwa nowe;
Z tych mścicieli téj ziemi, co ich łza ją rosi,
Połowa już nie żyje, druga więzy nosi.
Niech twój okup zwycięstwa dziś nie będzie krwawy!
A łaskawość wawrzyny do twéj doda sławy.
I pragnąc mą opiekę rozciągać nad niemi,
Chcę pocieszać ich nędzę, żyć jak z braćmi swemi.
Pomnij jednak na ojca twojego błagania,
Który cię Zamorowi przebaczyć nakłania.
Czyż twa dusza niezgięta, jak jaki morderca?
Nigdyż się nie nauczy jak podbijać serca?

Guzman.

Ach serce mi przebijasz, chciéj wziąć raczéj życie;
Zostaw mię méj wściekłości, co mną włada skrycie.
Wszak widzisz jak od gniewu mój umysł miotany:
Mogęż jemu przebaczyć, kiedy jest kochany?

Alvarez.

Bardziéj godnym jest pożałowania.

Guzman.

Co, mój ojcze? on, pożałowania!
Mnie płakać, bo dziś śmierćbym przyjął bez szemrani

Alwarez.

Ty śmieśz jeszcze do gniewu przydawać bezkarnie
To szaleństwo podejrzeń, zazdrosnych męczarnie?

Guzman.

Możeszże mi naganiać mój zazdrości szaly?
To słuszne uniesienie, pod którym drzę cały,
To uczucie piekielne hańby, przerażenia,
Tak prawe, ty go widzisz godnym obwinienia!
Ty patrzysz na mą boleść bez żadnej litości!

Alwarez.

Nietyle trzeba zważać na te przeciwności:
Alzyra jest cnotliwą, i błędów daleka,
Snać innego obejścia tylko od cię czeka;
Jój serce karmi w sobie ostrość tego nieba:
Nie przemocą, grzecznością zwyciężyć je trzeba;
Wiédz, że wielka zawsze władza uprzejmości.

Guzman.

Ja miałbym pochlebiać dumie jój piękności?
Bym pod czołem pogodnym krył hańby znamiona?
By do nowych mi obelg była ośmielona?

Czyż ciebie moja sława równie nie obchodzi?
 Czyż hańba moja gniewu w tobie już nie zrodzi?
 Dość już wstydu, że z gminu została mą żoną,
 A miłość moja przez nią wysmiana, wzgardzona,
 Któręj serce kto inny w mych oczach posiada,
 Którą kocham, za którą mój rozum przepada.

Alwarez.

Próżne żale, mój synu, jęć miłość prawdziwa;
 Niech cię w zbrodni nie wiedzie ta myśl rozpaczliwa.
 Daj mi słowo przynajmniej nic niestanowienia,
 Bez drugiego w téj mierze ze mną się widzenia.

Guzman.

Cóż na świecie ojcu syn odmówić zdoła?
 Tak jest, na chwilę gniew mój swą zemstę odwoła;
 Nie wymagaj nic nadto, kiedym tak zraniony.

Alwarez.

Żądam tylko czasu.

(wychodzi).

Guzman.

Cóżto? czy nigdy nie będę zemszczony?
 Kochać, żale rozwodzić przyszła na mnie pora,
 A nareszcie zazdrościć losowi Zamora,
 Jednemu z owych dzikich, Hiszpanom nieznanych,
 I zaledwie imieniem ludzkim nazywanych.
 Cóż widzę? Alzyra! o nieba!

SCENA II.

GUZMAN, ALZYRA, EMIRA.

Alzyra.

Ja to twoja małżonka, tak godna liłości,
 Ten przedmiot oplakany, twój dzikięj zazdrości,
 Co nie mogąc cię kochać, umie jednak cenić,
 I płacze że przeznaczeń nie potrafi zmienić.
 Mą niewinną prostotę niech kto jak chce bierze,
 Lecz że kocham innego, wyznaję to szczerze.
 Albowiem ma otwartość, cnota, co nas zdradza,
 Gdy śmierć znajdzie kochanek, ona ją sprowadza.
 Jeszcze bardziej myśl twoja tém będzie zdziwiona,
 Że o łaskę dla niego prosi cię twa żona.
 Bo sądzę, że ów Guzman, choć w gniewie zuchwały,
 Choć tak straszny, a jednak winien być wspaniały.
 Że wojownik waleczny, władzy swojej chciwy,
 Z samego przebaczenia może być chępliwy.
 Ta cnotaby uwiodła bardziej nasze serca,
 Niż złoto, co go pragnie tak chciwie morderca.
 A przez tak wielką zmianę w twój nieludzkięj duszy,
 Wszelka niechęć ku tobie dziś się we mnie skruszy.
 Tym sposobem nakłonisz mię do uległości,
 I przyspieszysz mój powrót do twojój miłości.
 Chcięj przebaczyć obłądne moje uniesienia,
 Hiszpanka pewno większe zrobi przyrzeczenia,
 Ona może lez swoich urokiem zachwycić,
 Ale ja ich powaby nie mogę się szczycić.
 Bo serce moje proste, rąk natury dzieło.
 Pragnąc cię ulagodzić, gniewać cię zaczęło.

A gdy czyny surowe ujrzałeś próżnemi,
Chciój jeszcze zemną działać środki łagodnemi.

Guzman.

Jeśli tak cnoty kochać kazały ci nieba,
To chcąc je wykonywać, wprzód je poznać trzeba.
Wprzód się uczyć, co przyjąć, co mamy naganiać,
A do tych obowiązków trza ci się nakłaniać,
Że pierwszą powinnością przytłumić wypada
Uczucie, co w mych oczach twoją duszą włada.
Więcej umieć się cenić, i mieć to na względzie:
Nie wymieniać imienia, które ścigam wszędzie.
Płonić się za te czyny i czekać w cichości,
Co zrobię z barbarzyńcą w mój zapalczywości.
Dość, kiedy twój małżonek przez ciebie zdradzany,
Jeśli tobie przebacza, wspaniałym uznany.
Bo bardziej niżli sądzisz, czułe serce we mnie,
I na to się uskarżasz podobno daremnie.

SCENA III.

ALZYRA, EMIRA.

Emira.

Ztąd widzisz, że cię kocha i czułość podziela.

Alzyra.

Kto kocha, czyż tak srogo działać się ośmiela,
Jam zabiła Zamora, chcąc by mu przebaczył!
Przeczułam, że niechybną już mu śmierć naznaczył.
Możeszże go ocalić, by żył choć w ustroni?
Czyś mówiła ze strażą co mu wyjścia broni?

Emira.

Złoto dla nich jest siłą, jakby talizmana,
Jego wierność i ręka już tobie sprzedana.

Alzyra.

Dzięki niebu, że owe przebrzydłe metale,
Nie zawsze sprowadzają zgubną nieszczęść szalę;
Nie trać czasu, wahać się to już nie jest pora.

Emira.

Mianożby postanowić o zgubie Zamora?
Alvarez także mało miałby już znaczenia?
A rada nakoniec....

Alzyra.

Wszystko trwoży i wszędzie roję podejrzenia;
Czyż nie widzisz tyranów samowładnych czynów?
Co chcą zmienić w poddanych Ameryki synów.
Co myślą, że królami dla téj biednej ziemi,
A Zamor buntownikiem z prawami swojemi.
Rado zbójców! Guzmanie! i ty brzydka tłuszcza!
Grot uprzedzę, co ręka dziś wasza wypuszcza.
Ten żołnierz nie przychodzi, o chwilo spóźniona!

Emira.

Wraz z Zamorem niedługo twych życzeń dokona;
W późnej porze przybiegnie pod więzień sklepienie,
By twój zamiar pokryły nocy czarne cienie.
Kiedy rzezią bojową mordercy znużeni,
W śnie ciężkim po swych trudach będą zatopieni.

Alzyra.

Spieszmy, niechaj nam brama będzie otworzona,
Niech zostanie niewinność z więzień wypuszczona.

Emira.

Upředzonaś, Cefania już go tu prowadzi,
Lecz jeżeli cię nawet i noc sama zdradzi,
Twoja sława stracona, to hańba niemała.

Alzyra.

Wtedy hańba, co kocham, gdybym to zdradzała;
Ta sława cudzoziemska, wśród nas nieznana,
Jestto mara, fałszywie za cnotę tu brana;
Lub raczej miłość chwały, bez żądy słuszności,
Obawa czczonej opinii, nie ludzkich sprośności.
Bom uczona Emiro w tej prostej krainie,
Szanować tylko cnoty w mém życiu jedynie.
O ten zaszczyt mém zdaniem starać się potrzeba,
Tego bronić, którego opuszczają nieba.

SCENA IV.

ALZYRA, ZAMOR, EMIRA, ŻOŁNIERZ.

Alzyra.

Niema rady, tyrani są tu zwycięzcami:
Uciekaj, bo upadniesz pod śmierci razami,
Odjeżdżaj i żołnierza weź za przewodnika,
A nadzieja zabójstwa niech mordercom znika;

Widzisz jaką rozpaczą nateraz miotana,
Unikaj, aby śmierć ci nie była zadana,
Niech jeszcze nowa zbrodnia małżonka nie plami;
Uchodź pod przyjaznemi téj nocy cieniami.
Miej litość nad twym losem, mnie zostaw boleści.

Zamor.

Niewolnico Hiszpana! o rodzie niewieści!
Ty coś mię tak kochała, wskazujesz wygnanie!
Lecz iść tam razem zemną czyli będziesz w stanie?
Bez tronu, bez pomocy, w srogićj poniewierce
Dam ci tylko pustynię, i me wierne serce.
Niegdyś przy twoich stopach składałem koronę.

Alzyra.

Niczém dla mnie bez ciebie me skronie zwieńczone!
Niczém świat ten nikiemny, tak pełen podłości!
Ma dusza w twoich siedzib zamieszka skrytości;
Tu zostanę w tych miejscach, gdzie mię strach pożera,
Tu zeschnę, tu mych zgryzot przepaść się otwiera.
Tu umrę wśród męczarni, zdradziwszy mą wiarę,
Tu palając dla ciebie, jakąż znoszę karę!
Jedź i unos wraz z sobą urok mego życia,
Ach widzę, żem nieszczęsna z samego powicia.
Mam zarazem ocalić kochanka i sławę!
To spełnić mi dozwólcie, ach nieba łaskawe!

Zamor.

Twoję sławę! ach jakież obce mi wyznania!
To mara z Europy oczy twe osłania!
Te przysięgi straszliwe, do których zmuszona,
Ta świątynia, co przez cię winna być wzgardzona,

I ten Bóg twój, niszczyciel bogów naszej ziemi,
Co mię wiecznie rozdziela z powaby twojemi.

Alzyra.

Dość; przyrzekłam, to mniejsza dla jakiego boga.

Zamor.

W zbrodniczym przyrzeczeniu widzę w tobie wroga.
Niech zginą twe przysięgi i twój bóg wraz z niemi!

Alzyra.

Stój Zamorze! co czynisz zamiary twojemi?

Zamor.

Guzman jest twym małżonkiem!

Alzyra.

Bardziej godnam litości, niżli znieważenia.

Zamor.

Pomyśl tylko o węzłach, jakie nas łączyły.

Alzyra.

Myszę jakie spotykać mogą cię cierpienia.

Zamor.

Tys płomienie tak czyste, okrutna zdradziła.

Alzyra.

Chyba ciebie kochając zbrodnię popeliła.
Dozwól mi umrzeć samą, opuszczaj te progi,
Jakże oczy twe błyszczą ogniem pełnym trwogi?
Zamor....

Zamor.

Stało się.

Alzyra.

Gdzie idziesz?

Zamor.

Wkrótce zobaczycie,
Jakie z mojej wolności dziś zrobię użycie.

Alzyra.

Nie wątpisz, gdybyś umarł, jabym żyć przestała.

Zamor.

Nacóżeś do chwil strasznych miłość mieszać chciała?
Zostaw mię, pora znika, czas nie zna przewłoki,
Żołnierzu, ty wiedz mię.

SCENA V.

ALZYRA, EMIRA.

Alzyra.

Ach umieram z boleści, o smutku głęboki!

Odjeżdża, co onzrobi, chwilo zbyt straszliwa!
 O Guzmanie! przez ciebie jakżem nieszczeniwa!
 Emiro, idź w ślad za nim i daj zapewnienie,
 Czy bezpieczny, czy jeszcze mam mieć życie w cenie.
 Przekonaj się: ten żołnierz nam służy lub zdradza.

(Emira wychodzi).

Jakieś czarne przecucie we mnie się wyradza;
 Dzień ten dla mnie być może tylko dniem zniszczenia.
 O chrześcian wielki Boże, godny uwielbienia!
 Małom znała twe prawa, a twa ręka z nieba.
 Nie uchyla zasłony, którą przejrzyć trzeba.
 Lecz gdy cię moja miłość tak mocno obraża,
 Ukarz serce, co do tych czynów się odważa.
 Wielki Boże! Zamora wiedz w głuche pustynie;
 Czyż tylko jesteś Bogiem tej obcej krainie?
 Samójże Europy tylko jesteś panem?
 Ojcem jednych, a drugich czyliżes tyranem?
 Zwycięzcy, zwyciężeni, co wydają jęki,
 Wszyscy również są dziełem twój wszechmocnej ręki.
 Lecz jakże straszne krzyki w mém uchu zabrzmiały!
 Słyszę, imię Zamora echa powtarzały,
 Krzyk się wzmaga, przybliża, o Zamor stracony!

SCENA VI.

ALZYRA, EMIRA.

Alzyra.

Tyżto jesteś Emirol! z której wracasz strony?
 Przez litość chciój oddalić te wątpliwe chwile.

Emira.

Zguba jego niechybna, tak, ja się nie mylę.
 Wziąwszy zbroję od tego, co wiódł jego kroki,
 Ozdabia rękę w sztylet, czoło w hełm szeroki.
 Wnet się ztamtąd oddala; żołnierz także znika,
 I tak w pędzie szalonym pałacu dotyka:
 Wśród naszych nieprzyjaciół szukam go ze drżeniem
 I śledzę po mordercach bolesném spojrzeniem:
 Wpółśród nocy okropnej, trupów i milczenia,
 Do pałacu Guzmana bieży bez wytchnienia.
 Wzywałam go napróżno głosem i oczyma.
 Wtém zgłęb straszny usłyszę, a jego już niema;
 Krzyczą tylko: niech umrze! i biegą do broni.
 Cofnij pani swe kroki z téj dzikiej ustroni;
 Wychodź.

Alzyra.

Ach Emiro droga! biegnijmy go wspierać!

Emira.

O nieba! i cóż pani zdołasz?

Alzyra.

Mogę umierać.

SCENA VII.

ALZYRA, EMIRA, D. ALONZO, STRAŻE.

Alonzo.

Mym rozkazom tajemnym trza się poddać, pani!

Alzyra.

Co mi mówisz nikczemny, czego chcą tyrani?
Jaki los Zamora?

Alonzo.

Kiedy chwile nadeszły tak straszne i nowe,
Mam ci tylko oznajmić rozkazy surowe.
Chciej iść za mną.

Alzyra.

O mój losie! o zemsty zbyt silne zapaly!
Czyżto na śmierć rozkazy, co mię tam wołały?
Ach, Zamor już nie żyje! mnie więzy czekają!
Ty jęczysz, a twe oczy tę myśl potwierdzają.
Me troski mogłyż doznać od tych serc litości?
Jeśli mię grób tam czeka, idę bez przykrości.

Koniec aktu czwartego.

AKT V.

SCENA I.

ALZYRA, STRAŻE.

Alzyra.

Czyście dla mnie gotowi z srogiemi mękami?
Tyrani! co się zwiecie tych ludów sędziami?
Czyż chcecie mię zostawić w tej niespokojności,
Bym w każdej chwili drżała o los mój przyszłości?

Porywają mię, strzegą i kryją milczenie:
 Czy żyć będę, lub pójdę w wieczne śmierci cienie.
 Gdy wymieniam Zamora, me strażę blednieją:
 Na to imię potwory wzruszone truchleją.

SCENA II.

MONTEZ, ALZYRA.

Alzyra.

Ach, mój ojczel!

Montez.

Córko moja! jak straszne sprowadzasz nam chwilę!
 Oto owoc miłości, co kosztował tyle!
 Niestety! my błagali o łaskę Zamora,
 Alwarcz razem ze mną mówił o tém wczora;
 Wtém żołnierz się przedstawia przed naszym obliczem:
 Byłto Zamor szalony z wejrzeniem zbrodniczym.
 Wzrok nasz takim przebraniem został uwiedziony,
 Zaledwie w jego ręku sztylet dostrzeżony:
 Wtém do nas się przybliża, wpada na Guzmana,
 Uderza i już rana śmiertelnie zadana.
 A krew twego małżonka, na ojca wytryska,
 Zamor zbrodnię spełniwszy wnet swój oręż ciska:
 I do stóp Alwarcza spokojny upada,
 Wznosząc krwawe żelazo, tak mu odpowiada:
 Tak ja płacę, kto ze mnie szydzi, naigrawa;
 Ty zrób swoje, natury zemścij na mnie prawa.
 Tak leżąc rozciągniony, zda się śmierci czeka,
 A ojciec zakrwawiony do mnie się ucieka.

Wszystko w ruchu, biegają, nawet płaczą skrycie,
 I twemu małżonkowi chcą przywrócić życie.
 Zatrzymują krew jego, środki przyspieszają
 Sztuk lekarskich, co siły nowe nam nadają.
 Lud cały głośnym wrzaskiem żąda twojej kary,
 Mieniać cię za współniczkę morderstwa ofiary.

Alzyra.

I możeszże!

Montez.

Me serce cię obwiniać nie widzi przyczyny,
 Bo twoje niestworzone działać nieczne czyny:
 Zdolne może do błędu, lecz nigdy do zbrodni,
 Któręj tylko dopuścić mogą się wyrodnii.
 Tak sy życzę, tak mniemam, te moje marzenia,
 Jednak mąż twój umiera z kochanka ramienia;
 Dziś wyrok twój stanowią, ja byłem przy sprawie,
 I masz życie zakończyć w męczarniach, niesławie:
 Lecz powracam, ostatnie robię wysilenia,
 Prosząc rady méj śmierci, twego przebaczenia.

Alzyra.

Żądać łaski tyranów mój ojciec zaczyna!
 Żyć tylko i mnie kochaj, ma prośba jedyna.
 Żałuję go, bo Guzman nieszczęsna ofiara,
 Lecz trza przyznać, że słuszną spotkała go kara.
 Zamor tylko zniewagi dopełnił zemścić,ienia,
 Nie mogę nigdy ganić jego poświęcenia.
 Chciałam wolność mu wrócić, tego nie zapieram;
 Gdy on zginie, ja razem niechaj z nim umieram.

Montez.

O nieba! jakże błagam dziś waszój opieki!

(wychodzi).

SCENA III.

Alzyra.

O nieba! niech na zawsze zamknę me powieki.
 Ten Bóg któremu służę, pomocy nie daje!
 I broni wysłać ducha, gdzie wieczności kraje!
 Rzuciłam moje bogi, których dobroć tkliwa
 Dozwala śmierć sy zadać, kto ją sam przyzywa.
 I cóżto jest za zbrodnia przed potężnym Bogiem,
 By spieszeń chcąc się stawić przed bram jego progiem?
 Jakaż męka z kielicha nieszczęść ciągle trwałych,
 Połykać gorzki piolun zawsze po dniach całych!
 Jestże świętém to ciało, co tak często boli,
 By go duch nie opuścił podług swojej woli?
 Czyż tylko ci zwycięzcy, co zbrojni pioruny,
 Mają prawo zabijać, słać śmierci całuny?
 Wyniszczać moich braci? rozdziierać me łono?
 A mnie czemuż rozrzadzić mą krwią zabroniono,
 Bym nie mogła nad sobą, z jakiejżto przyczyny,
 To spełnić, jakie chciwość działa w świecie czyny?
 Zamor wkrótce umiera pod srogiemi męki!
 Barbarzyńcy!

SCENA IV.

ZAMOR OKUTY, ALZYRA, STRAŻE.

Zamor.

To tu zginać potrzeba z ich tyrańskiej ręki.
 Zbrojne prawem fałszywém tak chciały zwyczaje,

Że sąd krwawy dziś śmierci na cię wyrok daje.
 Guzman jeszcze oddycha, bo ramię omyłne,
 Zadało jego piersi razy niedość silne.
 On żyje, by dopełnić Zamora zniszczenie;
 I umrze krwią tą zlany, którą ja tak cenię.
 My przy jego powiece gasnącej zginiemy,
 By czuł rozkosz zbrodniczą, ztąd że my cierpiemy.
 Alwarez ma ogłosić ustami własnymi,
 Ten wyrok napisany prawami dzikiemi.
 Ja to ciebie zgubiłem, ty dla mnie umierasz.

Alzyra.

Umierając przy tobie szczęście mi otwierasz.
 Ty mię kochasz, to dosyć, błogosław me losy,
 I co hymen zerwały, błogosław te ciosy:
 A chwile co mię wiodą w umarłych krainę,
 W których kochać cię mogę, są dla mnie jedyne.
 Tak wolna skonem moim i sobie wrócona,
 Dowiodę, że ma miłość tobie przeznaczona.
 A te śmierci przyrzady, to nasze ołtarze,
 Gdzie me serce swój płomień dla cię złożyć każe.
 Tam to wreszcie ja zmażę mimowolną zbrodnię,
 Żem drugiemu paliła hymenu pochodnie.
 W tej niedoli najbardziej to mię dziś przestrasza,
 Usłyszeć jak Alwarez naszą śmierć ogłasza.

Zamor.

Jakże zlana twarz jego łzami rozrzewnienia!

Alzyra.

I któż z nas trojga więcej doznaje cierpienia?
 Ileżto nieszczęśliwych tutaj los zgromadza!

SCENA V.

ALZYRA, ZAMOR, ALWAREZ, STRAŻE.

Zamor.

Czekam śmierci od ciebie, tak chce niebios władza;
 Ty masz wyrok ogłosić, co na nas wydany:
 Mów bez trwogi, tak również będzie on słuchany:
 I oddaj bez bojaźni na straszliwe męki
 Tego zbrojcę, z którego twój syn zginął ręki.
 Lecz cóż winna Alzyra, jaki udział miała?
 By jej wasza surowość życie wydrzeć chciała?
 Czyż i w tobie hiszpańska wściekłość się odzywa?
 I w twém sercu nieludzka zemsta się ukrywa?
 Sam jeden znany u nas z dobroci czynienia,
 Chcesz się wyrzec zaszczytu prawego imienia,
 By się we krwi niewinnój twa ręka zmaczała!

Alzyra.

Zemścij syna! lecz nie myśl bym z cnoty zbaczała,
 Bo małżonka Guzmaną, bądź tém przekonany,
 Niezdolna zdradzić męża, choć nie był kochany.
 Ceniłam twego syna, ach niebo widziało,
 I wiary dochowałam, choć serce jęczało.
 To mniejsza, czy mię lud twój zgani lub pochwali,
 Twoje zdanie jedynie mą sławę ustali.
 A kiedyś w bramach śmierci od ciebie ceniona,
 Już nie pytam, jakie mi świat nada imiona.
 Skoro Zamor umiera, i mnie umrzeć trzeba;
 Za tobą łza mi płynie, snąć tak chciały nieba.

Alwarez.

O nieba! wy mą czułość i boleść widzićie!
 Zabójca mego syna ocalił mi życie.
 Tobiem winien Zamorze nieszczęsne dni moje,
 Drogom ci je zapłacił, dziś o nie nie stoję.
 Jestem ojcem, lecz człkiem. mimo twój wściekłości,
 Mimo głosu natury, mimo méj czułości,
 Co domaga się zemsty od znękanéj duszy,
 Jednak pamięć twych czynów zawsze mię poruszy.
 Nad tobą, córko moja, cóż ma boleść zyska,
 A to imię tak słodkie lży moje wyciska.
 Twój ojciec nie podziela obmierzłego zdania,
 Że krwawe pole uciech, zemsta nam odsłania.
 Trzeba tracić zarazem, chwilo oplakana!
 Zbawcę syna i ciebie córko ukochana!
 Rada was tu potępia w swój zapalczywości,
 I zbroi rękę ojca w miecz sprawiedliwości.
 Żem przyjął tę powinność wyznać się nie boję.
 I przychodzę bym mógł was ocalić oboje.
 Zamor! ty wszystko możesz.

Zamor.

Co? ja mógłbym Alzyrę ocalić?
 Ach powiedz, co trzeba?..

Alwarez.

Boga, co ja wyznaję, razem ze mną chwalić.
 Ty zmienisz jedném słowem jój losy i twoje,
 Ten tu wolny, kto wstąpi w Chrystusa podwoje.
 To prawo, co niedawno zostało nadane,
 Zda się z nieba na korzyść jest twoję zesłane.
 Bóg co sam nas nauczył cnoty przebaczenia,
 Swém skrzydłem w naszych oczach dziś ciebie osłania.

Tym sposobem Hiszpanów powstrzymasz zapędy.
 Krew twoja dla nich święta, zasłuży na względy.
 A te mściwe pociski ich ręką miotane,
 Na ciebie, na Alzyrę nie będą zwracane,
 Ja rękę równie za jój, jak za twoje życie,
 Ty tylko chciěj zachować me zamiary skrycie.
 Nie chciěj Zamor odmawiać téj starca posługi,
 A dni moje ci będę winien po raz drugi.
 Okrutny! wszak twa ręka syna mi obala,
 A ten ojciec nieszczęsny twe życie ocala.
 Bądź równie tak, jak ona chrześcijańskiej wiary;
 Tego od was w nagrodę chce przyjaciel stary.

Zamor (do Alzyry.)

Alzyro! czyż tak wielkie ma życie znaczenie?
 Byśmy kupić go chcieli przez nasze spodnienie?
 Mamże rzucić me bogi, dla Boga Guzmana?

(Do Alwareza).

I ciebie mieć większego, niżli syn tyrana?
 Chcesz lub śmierci Alzyry, lub bym żył zhańbiony!
 Com robił, gdyś w mém ręku został zagrożony?
 Jaką cenę ci kładłem za wrócone życie?
 Mów, czybyś rzucił Boga, którego wy czcicie?

Alwarez.

Tobym zrobił, jak widzisz, co mię dziś zajmuje,
 Prosił Boga, tę istotność, którą tak szanuję;
 By cię nie chciał opuszczać w ostatniej potrzebie
 Byś był sługą Chrystusa, dając przykład z siebie.

Zamor.

Bogowie! jakże ciężkie trzeba znosić kary!
I co począć w nieszczęściach, w których niema miary?

(do Alzyry).

Tu idzie o twe życie i o moje bogi:
Ty coś mię tak kochała, wybieraj bez trwogi.
Na ciebie się tu zdaję, taka przyszła pora,
A ty pewno zhańbienia nie zechcesz Zamora.

Alzyra.

Ty wiesz dobrze, jak megom ojca szanowała,
On rozrządził tém sercem, którem ci oddała
Uznałam jego Boga; miotaj oskarżenia
Na mą młodość, na błędy z braku doświadczenia;
Lecz tą wiarą chrześcian ma dusza zajęta,
Żyje u nich i prawdy ich boskie pamięta.
A usta co się rzekły bogów mój ojczyzny,
Nie zadały mój duszy kłamstwem tchnącej blizny.
Lecz Boga się wyrzekać, w którego wierzymy,
Jestto zbrodnia nad zbrodnię, gdy kiedy czynimy.
Jestto zdradzać zarazem pod maską obludy
I boga dziś czczonego i co nim był wprzód.
Jestto kłamać przed niebem, przed światem, przed sobą.
Umrzyjmy, lecz niech prawość będzie zawsze z tobą;
A jeśli nowych pojęć nie dały ci nieba,
To co radzi uczciwość, jój słuchać potrzeba.

Zamor.

Przeczułem twą odpowiedź, po co się tu mamić,
Lepiej umrzeć wraz z tobą, niżeli się splamić.

Alvarez.

Okrutni! więc oboje chcecie być zgubieni!
Pogardzacie dobrocią, która los wasz zmieni.
Słuchajcie, czas już nagli, a te smętne krzyki...

SCENA VI.

ALWAREZ, ZAMOR, ALZYRA, ALONZO,
AMERYKANIE, HISZPANIE.

Alonzo.

Do ciebie twego syna niosą wojownicy,
Pragnie on na twém łonie oddać Bogu ducha;
A ten lud, co go kochał, w szaleństwie wybuchu,
Ciśnie się obok niego, chce nakarmić czy
Krwia małżonki, mordercy, co się z nich potoczy.

SCENA VII.

ALWAREZ, GUZMAN, ZAMOR, ALZYRA,
AMERYKANIE, ŻOŁNIERZE.

Zamor.

Wróćcie wolność Alzyrze, niech Zamor umiera!

Alzyra.

Niechaj śmierć ta okropna, troje nas zabiera;

Alwarez.

O synu konający, o nadzieje moje!

Zamor (do Guzman).

Ty chcesz więc aż do końca karmić zemstę twoję?
Zobacz krew mą, gdy możesz powieki otwierać;
I patrząc na Zamora, naucz się umierać.

Guzman (do Zamora).

Są jeszcze inne cnoty, których ci nie staje,
Winienem cię nauczyć, i sam przykład daję.

(Do Alwareza).

Niebo, co chce méj śmierci, a którą wstrzymuje,
Drogi ojeze! przed ciebie dziś mię powołuje.
Moja dusza ulotna rzucić mię gotowa.
Przed tobą się wstrzymuje by wyrzec te słowa:
Umiéram; a blask nowy świeci mi niestety!
Dopiero się poznałem aż u końca mety;
Aż do chwili, gdzie spocznę pod zimnym kamieniem,
Jęczała biedna ludzkość pod mojm ramieniem.
Niebo jest sprawiedliwe, i jegoto siła,
Mści się za krew, co moja ręka wytoczyła.
Szczęście mię zaślepilo, śmierć z błędu wywodzi,
Ja przebaczam téj ręce, która we mnie godzi.
Byłem panem w tych miejscach, jeszcze rzadził wczera,
I dziś łaskę ostatnią świadcę dla Zamora.

Żyj wolny; a z pamięci niech ci to nie znika,
Jaka śmierć i powinność były katolika.

(Do Monteza, który się rzuca do jego stóp).

Montez! Amerykanie! niech się wyznać godzi,
Że łaskawość dzisiejsza me zbrodnie przechodzi.
Powiedźcie swęj krainie, niechaj się nie żali,
Że myśmy swoje prawa jęj ludom nadali.

(Do Zamora).

Poznaj bogów różnicę, którzy rządzą nami,
Twoi ci każą mścić się i trudnić mordami,
A mój, gdy z ręki twojęj dziś odbieram ciosy,
Każe tobie przebaczać i błagać niebiosy.

Alwarez.

Ach, mój synu! twa cnota z odwagą zrównana.

Alzyra.

Wielki Boże! co widzę, jakażto jest zmiana?

Zamor.

Ty mnie nawet chcesz zmusić aż do łez wylania!

Guzman.

Chcę więcej, bo cię zmuszę jeszcze do kochania.
Alzyra ciągle żyła nieszczęsna, strapiona,
Często łzami zalana, że ze mną złączona.

Niech ma ręka stygnąca dziś ci ją oddaje:
 Żyj szczęśliwy i rządz tam, gdzie są twoje kraje;
 I dźwigając swe mury z strasznego zniszczenia,
 Błogosław czasem pamięć mojego imienia.

(Do Alwareza).

Na mą prośbę, bądź ojcem téj szczęśliwój parze,
 I niech dobroć nad niemi swą niebo okaże.
 Dla prawdy jeśli dusza jego się otwiera,
 To ci Zamor zastąpi syna, co umiera.

Zamor.

Ach, jakżem w obląkaniu i cały zmieszany,
 Czyżby tyle cnót razem mieli chrześciany!
 Religia, co cię nagli działać takie czyny,
 Każe wierzyć, że dał ją tylko Bóg jedyny.
 Znałem wprawdzie ja stałość, przyjaźni dar miły,
 Lecz taka wielkość duszy jest nad moje siły,
 Tyle cnót widząc wielkich, w nich powab znajduję.
 Zwyciężonym tą zemstą, kocham cię, szacuję.

(Rzuca się do stop jego).

Alzyra.

Ach, panie! do nóg twoich padam zawstydzona;
 Jeśli zechcesz, Alzyra dziś dla ciebie skona.
 Między tobą, Zamorem, dusza się rozdziera,
 I upada pod żalem, który ją pożera.
 Zbyt winną się być sędzę, a me smutne błędy....

Guzman.

Przebaczam: na lzy twoje winienem mieć względy.
 Mój ojciec, już me ręce ścisnąć cię nie mogą:

Zyj szczęśliwy, Alzyra niech ci będzie drogą.
Bądź Zamor katolikiem, a ja w grób wstępuję.

Alvarez (do Monteza).

Widzę, iż palec boży te klęski wskazuje.
A me serce znękanie kornie się poddaje
Bogu, co i przebacza, i kary nam daje.

K O N I E C.

KSIĘGOZBIÓR
MARCINA ZAMOYSKIEGO
-K2

KSIEGOZBIÓR
MARCINA ZAMOYSKIEGO

11417 -KZ



